

Sudecka poezja i proza

Sudecka poezja i proza

VII

Miejska Biblioteka Publiczna w Bielawie
ISBN 978-83-936827-6-8

VII

Biblioteka
Bielawa

Sudecka
poezja i proza
VII



Zdjęcie zatytułowane „Łąka Dierigów” pochodzące z lat 20. XX w., przedstawiające krowy na łące Dierigów obok zakładu „Christian Dierig”.



Te fotografie stały się inspiracją dla autorów wierszy i prozy
z tego tomiku. Jest on pokłosiem
II Konkursu Literackiego
Na Utwór Inspirowany Fotografiami Bielawy.

Sudecka poezja i proza

II Konkurs Literacki
Na Utwór Inspirowany Fotografiami Bielawy

**Biblioteka
Bielawa
2013**

REDAKCJA
dr Rafał Brzeziński
prof. Ryszard Waksmund

KOREKTA
Jadwiga Stępień
Urszula Ubych

SKŁAD I ŁAMANIE
Anna Węclewska

OPRACOWANIE GRAFICZNE
Paulina Wojciechowska-Cudak

© Copyright by Miejska Biblioteka Publiczna
Bielawa 2013

ISBN 978-83-936827-6-8

Miejska Biblioteka Publiczna w Bielawie
ul. Stefana Żeromskiego 43
www.mbp.bielawa.pl
e-mail: mbp.bielawa@gmail.com

Poezja

Julia Barczyk

Moja Bielawa

Lubię słuchać, jak rodzice snują opowieści
O rodzinie, dawnych czasach i o naszym mieście.
Czy wy wiecie, że Bielawa była kiedyś wioską?
Nazwę wzięła od potoku Biała – brzmi beztrosko.

Jednak różne były losy naszego miasteczka:
Nawiedzały je: zaraza, powódź, głód i bieda.
Kiedy Dierig wybudował przedsiębiorstwo tkackie,
Lepiej darzyć się zaczęło ludności bielawskiej.

Wkrótce z przedsiębiorstwa powstała fabryka
Największa na Dolnym Śląsku! Nie wierzysz? Poczytaj...
Ma nasza Bielawa spisane kroniki,
A w nich różne ciekawostki, zdjęcia i zapiski.

Dowiesz się z nich, że w Bielawie kiedyś kolej była,
Co do Srebrnej Góry bielawian woziła;
Kiedy nasze miasto zelektryfikowano
I kiedy mu wreszcie prawa miejskie dano.

Jak tyczyli rynek, drukowali prasę
Kiedy pierwszy polski burmistrz zaczął rządzić miastem.
Jak powstała „Bielawianka”, szpital, rzeźnia, kościół...
Ile z tego dziś zostało ? - rozejrzyj się wokół.

Nasze miasto wciąż się zmienia, widać to na zdjęciach
Trudno poznać znane miejsca, w niektórych ujęciach.
Bez pomocy starszych nie poznasz Bielawy –
Czarno-biała łąka jest dziś barwnym stawem.

Na bezkresnych polach, gdzie się krowy pasły,
Dziś stoją osiedla, place zabaw, skwery.
Lubię moje miasto, opowieści o nim,
Znam każdą uliczkę, historię tej ziemi.

A, że się zmieniło w mieście naszym wiele,
Nie narzeka ten, kto lubi kąpiele
Na łące Dierigów, gdzie się pasły krowy,
Dziś można popływać, pożeglować, łowić.

Cieszy mnie ogromnie ta bielawska zmienność
Która nam ułatwia zwyczajną codzienność.
Mamy basen, kino, galerię i studio,
Dzięki czemu w naszym mieście nigdy nie jest nudno.

Brygida Błażewicz

Pocztówka z Langenbielau

Historia zasnęła marzeniami
w lustrze wody
Ja tego nie widzę
lecz Ty
czujesz zapach siana
ryk krów niewydojonych
Pierwsze spotkania
na łące Dierigów z ukochanym

W zamyśleniu
słucham tego śpiewu
wiatr myśli zabiera
i gna wstecz
do czasu
biedy
strachu
niepokoju
Stoję zamknięta
w pamięci kropli

Bez słów w ciszy
hołd oddaję
tym co tu pracowali
i tym co odeszli
Przeminęło wszystko
jak burza
lub jak woda
wszystko zostało zalane

Dzień już przygasł
na wodzie
roztańczyły się
odblaski księżyca
powoli odchodzę
odprowadzana
szumem
nieistniejących krosien
i cichą pieśnią
Góry Parkowej.

Milena Borejko

Wspomnienie

Las, łąki, rzeka –
Gdy spojrzysz dokoła
wszystko nas urzeka.

Piękna okolica, piękny krajobraz,
widok ten przed oczami mam nie raz.

Pola zielone wstęgami miedz przepasane,
a na nich zwierzęta wylegują się ospale.

Krówki i cielaczki na trawce położone,
wymachują ogonkami wręcz zadowolone.

Ten obraz z dzieciństwa pozostał w mej głowie,
Wszystko takie piękne, spokojne i błogie.

Chciałbym powrócić do tych pól i łąk zielonych,
pięknych jak zawsze, słońcem ozłoconych.

Jesień

Zbliża się jesień,
widać liście żółte, brązowe i bordowe.
Moje Góry Sowie
piękne i kolorowe.

Wiatr szumi
I zrzuca liście.
Jakie piękne i złociste.
U podnóża jezioro
szerokie i bardzo głębokie.
Wiatr, szumiąc, tworzy lekkie fale.

Kaczki w tatarakach
pływają i głośno kwaczą.
Ludzie, spacerując, je dokarmiają.

Na niebie chmury wysoko
kłębią się w bałwany,
zakrywając słońeczko, jak parawany.

Lotnisko?

Nie bez powodu jedna z ulic Lotnicza się nazywa,
Gdyż był to pas startowy dla samolotów pana Dieriga
Na końcu pasa była łąka, na niej krowy,
Ale żadnej z nich nie przyszło do głowy,
że na ich łące powstanie co innego niż wielkie lotnisko.
Lecz pojawił się człowiek, który marzył nie o lataniu,
A o wodzie, żaglówkach i plaży,
I wybudowano jezioro-zalew przeciwpowodziowy,
Bardzo się wtedy zdziwiły krowy.

Tajemnicza łąka

miła Dierigów górską polana
kusząco nęci pachnącym zieleń
piękna równina kwieciami usłana
zaprasza krowy i młode cielę
zielona trawa słońcem dojrzewa
chwilę stanęły patrzą ciekawie
śpiewają ptaki w koronie drzewa
jakie wytworne miejsce w Bielawie
cóż za delicje w pyskach nabrzmiiałych
wolno łykają ciała zaspane
chyba zostaną tutaj na stałe
na miłej gościom górskiej polanie

Łąka pod jeziorem skrywana

Tam łąka w przeszłości była,
swym urokiem niejednego zachwycała.

Łąka wśród gór i lasów położona.
Gdzie ludzie ścieżki wydeptali
i swoje zwierzęta wypasali.

Ale wiatr ją przegnał,
może czas się skończył.
Bo teraz łąka wodą jest zalana.

Strugi błękitu przeszłość rozmyły
i pod falami ukryły.

Lecz ja już wiem, że jezioro łąkę
skrywa, którą kiedyś ktoś podziwiał.

Na starej fotografii z pamiętnika
Uśmiecha się twarz znajoma
Już znowu kolejna chwila umyka
To ja przed laty kilkoma

Przenoszę się do lat mojej młodości
Widząc mój mały domeczek
A góry uśmiechają się do gości
I dusza ginie gdzie laseczek

Na łące mlekodajna stoi krowa
Żuje powoli swoją trawę
Co dzień daje mleko bym była zdrowa
Śmietaną rozświecła Bielawę

Zakłady przemysłu bawełnianego
znane są tu parę ładnych lat
Nie ma nic drogocenniejszego
Niż Dieriga dawny życia świat

Tak mijają lata, mijają zimy
Z chwilą łązy przepełniają moje oczy
A z tym co dawniej się godzimy
Patrzac na goniący zegar proroczy.

Tuż nieopodal zakładu „Christian Dierig”
Jest łąka Dierigów z lat 20 XX wieku upasiona łąciatymi krówkami,
które muskają trawę pomrukując pod swoimi dużymi noskami.

Pan duży, choć malutki, poklepuje, co niektóre po grzbiecie,
w ciepłe, letnie popołudnia za wymię je doi.
I w nocy, i w dzień, i w lato,
pilnuje ich hojny, pracowity gospodarz, dając im dużo zielonej miłości.

Chodzi jedna za drugą jakby bawiły się w ganianego,
biegają, przy czym kręcą mordą,
a brzuchy rosną tym dużym głodomorkom.

Na zielonej polanie wyglądają jak mrówki,
muczą i muczą, może zastąpią kogutki.
Z łąki Dierigów mleko krówek bardzo dobre,
w końcu one są zdrowe i ochocze.

Patrzeć miło na łątki krzątające się na polanie,
Tu się urodziły i tu zostaną na zielonym dywanie.
Chodzić mogą wszędzie, bo łąka duża,
lecz komu by się chciało te brzuchy turlać.

Pracy może dużo, lecz gospodarz nie narzeka,
bo kto by marudził na te słodkie byczęta.
Na polanie im dobrze i niech tak zostanie,
nikt by nie oddał tych krówek innemu tacie.

List

Panie Christianie!
Piszę do Pana
Ze wzgórza Bielawy, budząc się z rana .
Góry...
Szumią drzew swych koronami
Opowiadają historię prawdziwą
O twojej pracy i życiu wraz z nami.
Kiedyś...
U wzgórz podnóża stał Bielbaw bogaty
Wytwarzał dobre i potrzebne szaty.
Z włókien bawełny wielobarwne wzory
Tworzyły z żakardów włókiennicze twory.
Tkacze przy swych krosnach miasteczko sławili
Kochali Bielawę, po łąkach chodzili.
Góorskimi ścieżkami wracali do domu
Swoje małe szczęścia zawdzięczali... komu?
Panie Dierigu!
Z wielkim sentymentem przechowam w pamięci
Urok tamtych czasów,
Choć łąki przykryła woda, a w górach ubyło lasów.

Bielawianka

Wierszyk o krowie

Na pastwisku stoi krowa,
o niej właśnie tutaj mowa.
Ona lubi trawkę jeść,
a ja wianki kocham pleść.
Wianki, kwiatki, cisza, hej!
razem z nią się dzisiaj śmieję.
Zieleni pełno wokół niej,
do mego kubka mleko wlej.
Rosnę wielka, jak ta krowa,
taka ta historia nowa.

Łąka wielka jak jezioro,
Stado krów chodzi wokoło.
Tam pastuszek odpoczywa,
Wśród pańskiego stada się uwija.

Krowy są zadowolone,
Twarze pastuszków rozanielone.
O czym marzą chłopcy mali?
Dlaczego tak się uśmiechali?

Już niedługo tak się stanie,
że krów już nie będzie.
Łąkę woda zaleje wszędzie
i na jej miejsce jezioro powstanie.

Wszyscy myślą, że to koniec,
ale to nie finał jeszcze!
Dzisiaj każdy w szkole malec,
Musi o tym pisać wiersze.

Krowy

Biel, czern, łaty.
Coś ci to mówi? Nie?
Dodam więc jeszcze:
Mleko, łąka, zwierzę.
Już wiesz – krowa.

Na zdjęciu widzimy
Kilka krów na pastwisku.
Najbliższą nam doi mężczyzna.
Obok niego stoi dziewczynka.
Może jest ona jego córeczką?

Dziś krów w Bielawie
Nie ma wiele.
Dziś Bielawa jest inną
Bielawą niż była kiedyś.
Bielawa się zmieniła.

Łąka Dierigów

Kiedys – ot, normalne, zwyczajne zdjęcia,
Dzisiaj – uwieczniona historia,
Zapisana w martwym łonie natury.
Nieważne, że martwa –
Ale pachnąca chęcią życia.
Milcząc, opowiada o dawnych dziejach rzeczywistego bytu.
Pobudzona wyobraźnia, rozkwitając,
Wypełnia serce chęcią przytulenia tego,
Co wtedy było tak drogie i ważne –
Niejednemu sercu.

Ten powiew wiatru,
Otulający szum płynącej wody
W blaskach wschodzącego słońca
Bujające w obłokach marzenia
Pozostawione na szczytach gór,
Tę zieloną łąkę i pasące się na niej zwierzęta domowe.
I patrzącą prosto w oczy – nieznaną nam postać.

Ale to już przeszłość.
Zamknięte pieśnią historii wspomnienie
Tych, których to dotyczy.

29.10.2013

Efemeryczne kształty obłoki co chwilę zmieniały
Smagane wiatrem po nieboskłonach szybowwały

Helios był w połowie wędrówki po modrym niebie,
Chmury były lśniąco białe niczym boskie gołębie

Wzgórza swą rolę spełniały, górując nad równiną
Upstrzoną miejscami jakoby plamkami drzewiną

Na Dierigowskiej, urodzajnej ziemi krowy się pasły
Soczyście zieloną trawę leniwie przeżuwały

Już do domostw swoich robotnicy poszli na popas
Natomiast ze swej woli Staszek został na popasie

Młody pasterz dumny z siebie krowi grzbiet poklepuje
Zamyślonymi oczętami w przestrzeń się wpatruje

Ojciec Staszka wielce chwalił u młodych te przymioty,
gdy chętnie i bez żalenia biorą się do roboty

Dla upustu swej radości z syna pracowitości
Pamiętną fotografię wykonał w dnia jaskrawości

Natenczas wiele w umyśle pastuszka się działo,
Mnóstwo młodzieńczych marzeń oraz planów kiełkowało

W owym czasie, jednak Staszekowi się nawet nie śniło,
Nielicznym bielawianom się jedynie marzyło,

Że za pół wieku tam, gdzie pasterz krowy prowadzał,
Powstanie przepiękne jezioro otoczone przez wał

A góry w tafli jeziora będą się przeglądały,
Latem dzieci z rodzicami w chłodnej wodzie kąpały

Góry Sowie

Codziennie, gdy wstaję, widzę Góry Sowie.
Takie piękne, wysokie i strome.
Często wędruje w te góry, bo są
tam ładne widoki.
Widać z nich mój dom, moje miasto, pola i łąki.
Jest też jezioro – skąd się tu wzięło?
Jak tyle wody tu przypłynęło?
Gdy patrzę na starą fotografię,
wyobrazić sobie tego nie potrafię.
Tam chodzą krowy, miałą ozorem
o tym, że lepiej jest być krową – nie wołem.
Dogłąda pasterz ich widowisko –
tam, gdzie jezioro, było pastwisko.
Był wielki potop? Sto dni padało?
Co u podnóża mych gór się działo?
Patrzę, podziwiam i się zachwycam.
W tych górach przecież tkwi tajemnica.
Zamykam oczy, lecę ponad chmury i Góry Sowie,
a wszystko się dzieje w mojej głowie.

Tu

Tu, gdzie teraz chodzimy na długie spacerzy,
Tu, gdzie odbywają się długie koncerty,
Tu, gdzie chodzimy podziwiać widoki,
To tu jest nasze jezioro głębokie.

Wiele osób je lubi, szanuje,
Ale też wielu, niestety, niszczy i zaniedbuje.
Lecz chyba każdy wie o tym,
Jak czas można miło spędzić nad nim.

Lecz dwieście lat temu, a może mniej,
Jeziora tego nie było. O nie!
Zamiast niego były łąki,
Gdzie krowy się pasły i baranki.

I wszystko to kiedyś było spokojniejsze, piękniejsze –
Temu nie zaprzeczę.
Lecz wszystko się zmienia,
Więc i Bielawa dziś różni się od wcześniejszego wcielenia.

Piosenka

Śpiewaj moją pieśń, pastuszk,
Niech po wodzie echo niesie.
Tam, gdzie dzisiaj wody lustro,
Łąki kwitły aż po wrzesień.

Śpiewaj mi o Wzgórzach Sowich
Prześlągniętych zbóż zapachem,
Niebem białym i bezkresnym.
Tu bawiłem się z moim bratem.

Ta kraina, ta cudowna
Jest do dzisiaj w mej pamięci.
Chętnie usiadłbym na łące
I fujarki z bratem kręcił.

Śpiewaj więc, pastuszk miły,
Niech się bydło pasie samo.
O tym, że idę na łąkę Dierigów
Spotkać się z bratem i mamą.

Zdjęcie

Zakurzony album
Drży niepewnie w ręce.
Odsłaniam pergamin.
O! babcia w sukience
W grochy, w chusteczce
Na głowie, obok mój stryjaszek.
Już mi nie opowie
O Pagórkach Sowich
Porośniętych lasem,
Który prawie w tajgę
Zamienił się z czasem.
O bezkresnym niebie
Błękitnym z chmurami.
Niezliczonych łąkach
Usianych kwiatami.
O fabryce Dieriga,
Gdzie codziennie rano
Pracę zaczynali
Także tata z mamą.
Poświęcili lata
Tej bielawskiej ziemi.
Nie na próżno wcale...
Gładzę fotografię
Drżący ze wzruszenia.
I ten album, i ja
Mamy wciąż wspomnienia.
Wnuczek siedzi obok
Ogląda obrazy.
Woda zamieniła
Część tamtych pejzaży.

Bielawa ma w sobie coś wyjątkowego.
Coś, co przyciąga turystę każdego.
Zaraz wam opowiem – zobaczycie sami,
Jaką atrakcję tu dla was mamy.

Nad jeziorem ludzi nie brak,
A plaża już pęka w szwach,
Bo kiedy jezioro w Bielawie jest,
To gorące dni są tutaj „the best”!

Możemy się kąpać i wypoczywać,
A czasem znajdzie się jakaś ryba.
Robimy tu grilla, jemy kielbaski,
Bo to jest właśnie urok bielawski.

Nowa woda

Och, jak wspaniale popatrzeć na fotografie
pokazujące życie wiedzione zbyt dawno,
Gdzie górują te tajemnicze sowiogórskie
szczyty, domy piękne, krajobrazy podgórskie.
W latach dwudziestych na jednej z bielawskich łączek
obok zakładu przebiega szarak-zajaczek –
zakładu oczywiście Christiana Dieriga.
Człowiek pasie uważnie krowy, nasz kolega
pastuch, co się pracą para jako najęty –
wierzy, że posługę sprawuje i urzędy,
co pieszo nie chadzają, i ma satysfakcję,
że jest dla krów dobrym pasaczem – i ma rację
co do tego. Łaciate krasule jedzą żdźbła –
jest to dla nich przyjemność, a nie trudna szkoła,
gdzie się uczą, jak życie mają spędzać i snuć.
One wiedzą, że nie ma co trudnych reguł kuć –
Pastuszek bez fujarki na pewno da im jeść
i pić wtedy, kiedy będą miały na to chęć.
Dziś krów już nie ma, zostały góry pradawne.
Zbiornik mamy, nie było to wyjście fatalne,
Ludzie ulepszyli łąkę na nową modę,
ale to nie Bóg dobry z niego spuścił wodę.

Witold Kopec

Bielawskie pejzaże

Pan stworzył wszechświat z promieni przejrzystych,
Żywy rytm ciała i duszy nieznanej;
Spojrzał na dzieło i rzekł uroczyście:
Uczyńcie sobie tę ziemię poddaną.

I począł człowiek tworzyć w pocie czoła,
Zgodnie z odwiecznym natury pragnieniem.
Płaski krajobraz paś chudego woła,
Co w suchej trawie zanurzył spojrzenie.

Leśne pagórki zerkały ku sadom,
By móc się przyjrzeć skrzydlatym gromadom.
Stały w szeregu trzy wierzby i grusze,
Szedł bosą drogą ubogi pastuszek.

Praca rąk ludzkich stawiała się życiem,
Wielkim i prostym jak smukła topola.
Człowiek strudzony wstawał bladym świtem,
Kończył swe dzieło, gdy mrok schodził w pola.

Ten, co nazywał rzeczy po imieniu
I biel od czerni odróżnić potrafił,
Prawdy odwieczne ludzkiego istnienia
Uwiecznił niegdyś w starej fotografii.

Czas się dopełnił i dzień nastał nowy:
Łąka przyjęła odcień szmaragdowy –
Gładki jak lustro, leniwy jak rzeka,
Która w tęsknocie ku morzu ucieka.

Woda, co chłodzi ciało utrudzone,
Wiosną wstrzymuje strumyków żywioły;
Ryby zadziwia, przez Pana stworzone,
Unosząc w górę swych marzeń anioły –

Bo świat kolorów jest rajem dla duszy,
Jasnej i żywej niczym gór zieloność.
Błękit słoneczny natchnieniem poruszy
Serce wrażliwe i myśl nieskończoną...

Dziś nie ma łąki i schną wielkie wody,
Bo świat współczesny inne poznał mody.
Przy błotnej trawie myśliciel nieznany
Zdartym ołówkiem tajne kreślił plany:

Szara codzienność czy barwne natchnienia?
Co decyduje o kształcie istnienia? –
Oczyścił szkiełko, uzbroił swe oko...
I nad sadzawką coś dumał głęboko.

Gdzieś daleko na polanie
Krówki jedzą swe śniadanie.
Skubną tu, skubną tam
Robiąc przy tym muuu, mniām-mniām.
Przez lat wiele tak skubały
Aż się zrobił dół niemały.
Bielawianie główkowali,
Długo się zastanawiali,
Aż do dołu wodę wlali
I latem z rodzinami nad jeziorem wypoczywali.
A gdy jesień i zima przychodzą,
Zdrowe są spacerki nad tą naszą wodą.

Łąka pełna życia

Łąka wiosną rozkwita,
kwiatów pełen kosz przynosi,
a z tych kwiatów bukiety tworzymy
dla swoich najbliższych.

Na łące każde zwierzę spotkasz.
Krowy, sarny, jelenie
przychodzą tam co dzień.

Góry to cud,
łąka to życie,
drzewo to schronienie –
wszystko ma jakiejś znaczenie.

Liść, trawa, powietrze –
Wspomnienia na wietrze
Mimo upływu czasu
Lecące, hen, daleko do lasu.

Tak wiele żdźbło trawy widziało!
Tyle się tutaj działo!

Polana pachnąca zielenią,
Cielaki pasące się jesienią.
Wszystko się pozmieniało,
Lecz powietrze to samo zostało.

Tak wiele żdźbło trawy widziało!
Tyle się tutaj działo!

Ciężkie czasy nastały,
Głód i nędze widziały,
Wojnę przeżyły,
Lecz tam trwały i były.

Tak wiele żdźbło trawy widziało!
Tyle się tutaj działo!

Ludzie pamiętają.
Wspomnienia, nam młodym, powtarzają.
Z nimi w kolejne stulecie pójdziemy

Tak wiele żdźbło trawy widziało!
Tyle się tutaj działo!

Żyjemy, oddychamy, trwamy,
Tutaj naszą Bielawę mamy!
Duma nas rozpiera –
Jesteśmy z kolejnego pokolenia.
Kiedyś było tu pastwisko,
Teraz mamy kąpielisko
Zbiornik „Sudety” naszą chlubą,
Całe rodziny go lubią.

Czas

U podnóża Gór Sowich
czarno-białe krowy
brzuszek pasły.
W dodatku na tej łące
biedronek i koników
polnych tysiące.
Nad bogatą zielenią
łąka i przejrzyste niebo
swoją radość niosło
czy to późną zimą,
czy też wczesną wiosną.
Piękny obraz maluje się w głowie.
Co było w tym miejscu przed laty?
Dziś otwieram oczy,
spoglądam... i widzę wodę,
a w niej dotyk słońca,
które właśnie wygasa.
To zbiornik „Sudety” w Bielawie,
którego promienie o późnej porze
zostały zatopione w jeziorze.

Zielone wzgórza

Góry, góry zielone,
Przed nimi drzewa wysokie
i zbocza szerokie.
Pasą się krowy na łące zielonej,
przed nimi chłopczyk pilnuje stada,
ogląda się, czy nikt się nie zakrada.

Kiedy stado się naje do syta,
chłopczyk odprowadzi je do miasta.
Idą przez pola żółte i zielone,
nad nimi słończko ociepla chłopczyka dłonie.

Góry Sowie

Nasze Góry Sowie choć są małe,
to dla nas są wielkie niebywale.
Nasze Góry Sowie są piękne.
Sudety dały nam je,
z czego bardzo się cieszymy
i często je odwiedzamy.
Jesienią liście są jak złoto,
choć wielkie tam błoto.
Wiosną i latem
najlepiej iść w góry z bratem.
Gdy patrzysz na nie z daleka,
to łąa gdzieś ucieka.
I to koniec wierszyka,
więc w góry zmykaj!

Góry, góry zielone,
A u podnóża ich miasto kolorowe.
Nikommu wcześniej z przemysłu nieznane,
A przez Christiana Dieriga docenione.
Jego nazwiskiem łąkę nazwano,
Na której na co dzień krowy wypasano.
Wśród krów chłopczyk mały pilnuje stada
I patrzy, czy nikt się nie zakrada.
Z czasem wszystko się zmieniło
I zamiast łąki jezioro się pojawiło.
Dla mieszkańców to miejsce uwielbiane,
I przez turystów często odwiedzane.

Wspomnienia lipy

Stoję tu, na polanie,
spoglądam w dal.
Przedemną pustka,
za mną pasmo gór
wieloma tajemnicami okryte.
Wkoło cisza...
Zapytasz:
Czy zawsze tak było?
Czy przez lata nic się nie zmieniło?
Sięgam pamięcią daleko...
Przypominam sobie czasy,
gdy na miejscu owej pustki
krowy się pasły.
Codziennie rano odgłos dzwonków
budził mnie z błędnego snu.
Wieczorem spędzano stado
do folwarku Dieriga.
I tak przez wiele lat.
Aż któregoś dnia
pastuszek nie wyprowadził już krów.
Próżno czekałam, lata mijały.
Bezradnie rozkładałam gałęzi ramiona.
Słuchałam szumu swoich liści.
Doczekałam dnia,
w którym łąka znowu ożyła.
Pojawili się ludzie i jakieś dziwne maszyny.
Kopali, wiercili.
Zastanawiałam się: **po co?**
Patrzyłam,
jak na miejscu mojej łąki

Powstaje ogromna, czarna dziura.
Człowiek niszczył dzieło natury.

Po co?!

Dlaczego?!

Odpowiedź okazała się prosta.
Łąkę zamieniono w jezioro.
Znów budziły mnie odgłosy,
tym razem nie zwierząt, lecz ludzi.
Ludzi, którzy w cieniu mych liści
odpoczywali po ciężkim dniu.
Śmiech kąpiących się dzieci
miło dźwięczał w moich uszach.
Myślałam, że tak będzie już zawsze.
Tymczasem...
Dziś nie ma już jeziora.
Ludzie zniszczyli wszystko.
Ja rosnę nadal...

...i czekam...

Jessica Opiola

Wróćmy na chwilę do czasów,
których nikt z nas nie zna,
gdy na łące Dierigów pasły się krowy,
a teraz przelewa się woda w zbiorniku,
tam, gdzie trawa zielona rosła do nieba
i raz na rok mniszek lekarski zakwitał,
teraz nie ma nic innego jak lustro wody,
trawa zmieniała się w wodę.
Jedni pomyślą: „Cóż to? Magia?
Przecież to sprawa niesłychana,
by trawa w wodę się zmieniała.”
Mądrzejsi zaś i bystrzejsi ludzie
wpadną na myśl: „Ach tak, to przemijanie...”
Czas wszystko zmienia:
piękne widoki w jeszcze piękniejsze,
a suchą ziemię w kałużę żywiołu.
Tamta łąka – dziś to tylko wspomnienia,
to, co było – dziś tego nie ma,
ale, i gdy my będziemy u kresu życia,
czar pryśnie, z jeziora powstanie miejsce –
może jeszcze ciekawszy krajobraz,
o którym będą pisać wiersze...

Łąka Dierigów

niejednostajnie
pełzną chmury po niebie
trawa oblepiona kroplami rosy
łaskocze zatopione pyski

w uszach szumią wspomnienia
nadzieja zieleni pasma górskie
zatapiając zatrwożone słowa

wiatr rozkołysał dmuchawce
gdy śpiewałem piosenkę
do akompaniamentu świerszczy

oddechem owiały mnie
marzenia
pachnące jak skoszona trawa

Na obrazku góry, łąka i pastuszek,
a ja o tym wszystkim
wiersz napisać muszę.

Krówki skubią trawę,
pasie je pastuszek.
Fajnie, że ja dzisiaj
krów pasać nie muszę.

Dzisiaj jest jezioro,
tam, gdzie były łąki.
Krówki to cukierki,
a mleko z „Biedronki”.

Lecz gdy oczy mrużę,
kiedy spać iść muszę,
Kwietne łąki widzę –
a wśród nich pastuszek.

Sen na łące Dierigów

Kiedy raz wyszłam na spacer z domu
jakby za rękę mnie ktoś prowadził
i wnet dotarłam, nie mówiąc nikomu,
na piękną łąkę. Tam mnie ktoś posadził.

Co zobaczyłam tam na tej łące?
Szczyty Gór Sowich pokryte lasem
i stado zwierząt na trawie się pasące,
muczeniem ciszę przerywające czasem.

Kiedy zamknęłam oczy na chwilę,
to we śnie ujrzałam, jakby na jawie,
i zaskoczona byłam bardzo mile,
że Christian Dierig jest znów w Bielawie.

I razem spacerowaliśmy po tej łące,
czasem przystając znów w cieniu drzew,
zbieraliśmy zioła i kwiaty pachnące,
wsłuchując się w piękny ptaków śpiew.

Gdy usiedliśmy razem na trawie
o swym folwarku pan Dierig wspomniał,
o tradycjach tkackich opowiadał ciekawie,
chciał, by w Bielawie nikt go nie zapominał.

Jednakże co to? Pan Dierig znika,
co wartościami w życiu się kierował.
Lecz pozostała po nim fabryka
i dom, który dawno temu zbudował.

Kto progi przekroczy tego domu,
może już na zawsze czuć się jego gościem.
Na łące miejsca nie zbraknie nikomu –
tak mówił pan Dierig, prosto, jak najprościej.

Więc jeśli przypadkiem znajdziesz się w Bielawie,
na łąkę Dierigów skieruj swoje kroki.
Bo ona istnieje nie tylko we śnie, lecz na jawie,
historię ziemi dolnośląskiej pokazując i jej uroki.

Bielaviana

Niby takie nic,
szare stare zdjęcie
na którym kilka krów
łąka pokryta kaczeńcem
cztery lipy kilka drzewek owocowych.

I te wzgórza jak piersi kobiety,
jędrne, delikatne
przyciągające wzrok
by dostrzec jak najwięcej detali.

Możemy tylko sobie wyobrazić
tę połąć zielonych drzew
piętrzących się na stokach,
bujnego runa wewnątrz lasów.

Szary obrazek
a ileż w nim detali
minionych lat zatrzymanych
w jednym kadrze.

Łódź, 2.09.2013

Krówki i krasnoludki

Pewnego razu na małej polanie,
Pasą się krowy i wylęgają się na niej,
A kiedy rolnik z chałupy wraca,
Doi te krowy. To jego praca.

A tam daleko są Góry Sowie,
A w nich krasnale mieszkają sobie,
W domkach diamentów mają dużo,
Bo te krasnale górnikom służą.

Pewnego razu drwał w góry przyszedł,
Chciał sobie rąbać drzewo na opał,
Krasnale mówią do niego: „Nie!”
A on cały las wyciął im.

Od tamtej pory nikt ich nie spotkał,
Pewnie przeprowadziły się gdzieś daleko.
Choć to jest tylko legenda,
To ja uważam, że one żyją.

Na niewielkiej łące
Pasą się krówki mleko dające.
Jest i chłopczyk mały,
A może to pastuszek nieśmiały?
Krówki są wesołe,
Bo są na diecie zielonej.
Zaś pastuszek uradowany,
Bo po wypasie dostanie pyszne mleko od mamy.
Mleko pyszne jest i zdrowe,
Więc trzeba dbać to te krowy,
Co mają mądre głowy.

Nasza Bielawa
Tkackie miasteczko w dolinie położone,
Górami Sowimi pięknie otoczone.
Zielone łąki, lasy, pola wkoło,
wszystkim się żyło zdrowo i wesoło.
Lecz z biegiem czasu ludzi przybywało,
i z małej miejscinki miasto powstało.
Tętniło życie, tkacze tkali.
W zakładzie Dieriga wszyscy pracowali.

Lecz czasy się zmieniły i nie ma już tkaczy.
Łąki dziś wyglądają inaczej.
Pastwiska, na których pasły się krowy,
są teraz pełne błękitnej wody,
nad którą wypoczywają mieszkańcy Bielawy,
ciesząc wzrok widokiem ciekawym.
Bielawa się rozbudowała, mieszkańców znów przybyło
i życie w mieście od nowa ruszyło!
Pamięć o bielawskich tkaczach wciąż jest w nas żywa,
ale upływu czasu nikt nie zatrzyma.

Dzisiaj Bielawa znów na mapie błyszczy,
bo to raj dla mieszkańców i każdego turysty.
Lasy, góry i woda to miasta naszego atuty,
więc odpocząć tu można nawet w lutym.

W naszej dolinie

Dawno temu pod górami w Bielawie
krowy się pasły na zielonej trawie.
W całej dolinie słyszeć było trele ptaków,
szum poruszanych wiatrami krzaków.
Dzieci radośnie śpiewały, krowy zabawnie muczały.
Jaki piękny był ten świat cały!

Teraz w tym miejscu lśni jezioro,
które radości daje wszystkim sporo.
Pływają tu kaczki, białe łabędzie.
Ludzi na rowerach widać też wszędzie.
Jest tu plac zabaw i kolorowa fontanna,
czasami się pojawi zabłąkana sarna.
Słońce pięknie zachodzi w naszej dolinie.
I życie tu płynie, w radości płynie.

Chwila relaksu

Jezioro latem to jest raj,
a ulubiony miesiąc mój to maj.
Nad wodą jest cudnie
rano, wieczór i w południe.
Przyjemnie jest popływać łódką po jeziorze
i jak najdłużej zawsze być na dworze.
Uwielbiam błękit nieba i morską toń wody,
która latem wszystkim dodaje ochłody.
Lubię chodzić po górach,
ale nie z głową w chmurach.
Góry wysokie, lasy szerokie,
Zwierzyny pełno jak sięgnąć okiem.
Słucham śpiewu ptaków i trzepotu motyli,
mogłabym żyć tylko dla tej chwili.
Jezioro, góry, słońce, las –
ja zawsze będę kochać was!

A góry pilnują...

Wszystko znikło.
Krowy pasące się na
zielonej, ubranej kwiatami
łące Dierigów.
Łąka, na której dzieci
bawiły się, kiedy wracały
ze szkoły.

Dziś lekki wiatr, który poruszał
żdźbłami traw, gałęziami drzew,
marszczy taflę jeziora.

A góry?
Zostały. Te same, słoneczne i dostojne.
Ciemnozielone góry.
Nic się nie zmieniły.

Jesienną porą wiatr zdmuchuje
z nich ostatnie kolorowe liście.
Zimą mieszkają pod białą pokrywą śniegu.
A wiosną i latem połyskują
w promieniach słońca.

Góry,
które widziały,
jakie następowały zmiany.
Jak zniknęły białe-czarne krowy,
kiedy dzieci przestały się bawić
w berka na łące,
jak zamiast zielonej łąki
powstało niebieskie jezioro.

Góry,
które przez wiele lat
strzegły łąki Dierigów,
a które teraz pilnują jeziora „Sudety”,
jak kamienni rycerze.

Krajobraz Dierigów

Na pięknej polanie mieniącej się trawie
Pasą się krowy i patrzą ciekawie
Jak cienie kładą zielone drzewa
Spod lasku biegnie do ojca Ewa

W słonecznym blasku mienia się góry
Dzieląc się pięknem polskiej kultury
Łąka Dierigów duszę ukoi
Nawet rolnika co wraca z roli

Kiedyś były tu drzewa, zwierzęta i pola,
teraz sterty śmieci i betonowy mur.
Taka jest przyrody nieszczęsna dola.
Nie widać już prawie gór.

Z pokolenia na pokolenia,
człowiek stworzył
cywilizację zniszczenia.

miejsce wypoczynku, wspaniałej zabawy.
I choć piękny jest Kraków, piękna Warszawa,
niezwykle piękna jest nasza Bielawa.

Bielawski pejzaż

Przed wieloma laty
u podnóża Gór Sowich
osadę zbudowano
i od potoku Bielawica
Bielawą nazwano.

Piękne to były okolice...
Z jednej strony góry,
z drugiej Pieszyce,
a z trzeciej Bielawy dzielnice.
Pod lasem były łąki zielone.
Na nich soczyste trawy rosły
i grubiutkie krowy się pasły.
Po łąkach tych zajączki, muflony
i sarenki biegały,
i zieloną smaczną trawkę skubały.

Na tych łąkach w latach 70. wieku XX
rozpoczęto budowę jeziora bielawskiego.
W tym czasie jeszcze pod lasem pociągi jeździły,
Dzierżoniów, Bielawę z Ząbkowicami łączyły.
Z okien pociągu można było podziwiać
Góry Sowie, Jodłownik, Stoszowice,
piękne Bielawy okolice.

Teraz nasze jezioro to duma miasta.
Wie o tym każdy, kto tu wyrasta.
Ośrodek „Sudety” to serce Bielawy,

Krajobraz

Widok to niesamowity,
jak stare opowieści czy mity.
Trawa jest tak zielona, tak soczysta,
dlatego krowy ją jedzą, to sprawa oczywista.

Jedzą ją jak zahipnotyzowane
i przez to robią się cwane.
Jest ich takie mnóstwo,
że na polanie nie jest pusto.

Za nimi są niewielkie góry
i niebo, i chmury.
Przy jednej krowie widzę chłopca,
na pewno nie hip-hopowca.

Jest to pastuszek,
co pilnuje,
by krowy miały pełen brzusek.
Myślę, że ten krajobraz wam się spodoba
bo nie dorówna mu żadna inna przyroda.

Łąka Dierigów

Na pięknej zielonej łące
pasło się krów tysiące.
W oddali słysząc,
Jak komar bzyczy,
muchy syczą.
Nawet strumyk
gdzieś z daleka płynie.
Zwierzęta tam się zbierają
i ze źródła wodę spijają,
Dzieci po łące biegają,
Lecz sprawy sobie nie zdają,
że za chwil kilka
zamiast łąki
zbiornik powstanie
i cały krajobraz ulegnie zmianie.

Na łące

Na łące
pasło się krów tysiące.
A tu nagle ciężarówka przyjechała,
kopać zaczęli,
beton lali,
czekali,
aż w końcu wody nalali.
I tak powstało
nasze piękne
bielawskie jezioro.

Wokół nas

Istnieje mnóstwo miejsc, które zapierają dech w piersiach,
mnóstwo miejsc wartych, by je zapamiętać.
Lecz czas jest szybki i trudno go zatrzymać,
coraz mniej możliwości, by wzrokiem
piękny obraz schwytać.

Lecz zatrzymaj się na moment,
jest takie miejsce,
gdzie błękit nieba stoi strażą nad spokojem.
To tu rodzi się nadzieja,
kolorowy obraz, który daje matka ziemia.

Wokół zieleni, wokół cisza,
tafla wody, lekka bryza.
Nikt nikogo nie pośpiesza,
nikt nie jest pośpieszany,
błogi spokój leczy rany.
Zwróć swój wzrok w stronę nieba,
odpędź wszelkie niepokoje.

Czyste niebo, promienie słońca
wciąż pędzące w twoją stronę.
Czy to tutaj jest to miejsce,
gdzie spokój panuje nad niepokojem?
czy wciąż prosisz się o więcej,
gdy ciężkie dni są minione?

A nad tobą białe chmury,
każda z nich ma własny kształt.
Przeszły długą drogę,

by nad tobą stworzyć dach.
Zatrzymaj się, nie pędź wciąż przed siebie,
bo możesz ominąć
moment szczęścia przemykający obok ciebie.

Adrianna Stanecka

Jedno miejsce, tysiąc wspomnień

Widzę góry, widzę drzewa,
A w oddali ptaszek śpiewa.

Widzę krowy, widzę łąkę,
Chłopiec na rączce ma biedronkę.

Widzę krzewy, widzę domy,
Tam w oddali ktoś znajomy.

Jednak to nie czas na wspominki,
Przejdźmy lepiej do dziecinki.

Dzieci śliczne, malownicze,
Okolone serca biciem.

Tam daleko widzę góry,
Które chcą dosięgnąć chmury.

Piętro niżej widzę las,
Który zielony jest przez cały czas.

Niedaleko stoją domki
Rozsypane jak poziomki.

A na wyciągnięcie ręki
Płynie woda jak z butelki.

A w tej wodzie magia, czar,
Odbicia świata pełen dar.

Historia zbiornika „Sudety”

Okolo pięćdziesięciu lat temu
nawet obcemu,
nie marzyło się wcale,
że jezioro tu powstanie.

Franciszek przybył do Bielawy,
aby tu założyć rodzinę.
Był w Górach Sowich zakochany
i nie wahał się nawet chwilę.

Tu poznał Zosię, przyszłą żonę,
z nią chciał resztę życia spędzić.
Miał też psa pasterskiego na obronę
i stado krów, które codziennie na łąkę musiał zapędzić.

Przez lat wiele szczęśliwie żyli,
dobytek swój pomnażali.
O potomstwie licznym marzyli,
wkrótce dwóch synów się doczekali.

Gdy chłopcy dorośli, rodzice zmarli,
majątek stał się kością niezgody.
Bracia jednak pokój ze sobą zawarli
i ze sprzedaniem krów nie było przeszkody.

Nic już w Bielawie ich nie trzymało,
więc wyjechać z raju zamierzali,
Jednak wspomnienie zostało,
bo w tym mieście się wychowali.

Ważną życiową decyzję pojęli,
aby ten zakątek upiększyć.
Teren wykupili, zbiornik zbudować postanowili,
by mieszkańcom miejsce wypoczynku zapewnić.

I tak lat temu pięćdziesiąt prawie
powstało jezioro „Sudety”.
Służyło mieszkańcom, dzieci czas spędzały na zabawie,
ale jeziora już nie ma – niestety!

Lata dwudzieste zeszłego stulecia.
Wokół piękne góry i zieleń soczysta
Spływa łagodnie na łąkę Dieriga,
A na niej leniwie pasące się krowy.
Sielanka jak z obrazka, niczym niezmacona
Pozwala mieszkańcom odetchnąć po trudzie.
Każdy tutaj znajdzie chwilę zapomnienia
Od ciężkiej pracy w znoju, kurzu, brudzie.
Pięćdziesiąt lat później w miejscu owej łąki
Zaledwie w trzy lata powstał zbiornik wodny.
Był „bielawskim morzem”. Tak go zwali wszyscy,
Choć góry dokoła i brzeg nie piaszczysty.
Służył mieszkańcom przez całe półwiecze
Młodzi, starcy, dzieci bywali tu w lecie.
Było tak do dzisiaj, aż nowy właściciel
Odebrał mieszkańcom ich spokojne życie.
Zniszczył to, co było tworzone przez lata
Wspólnymi siłami, więzią, która brata.

Na łące Dieriga nie pasą się krowy,
Nie ma też jeziora – zwierciadła Gór Sowich.

Łąka Dierigów naszym jeziorem

W latach 20. XX wieku,
na miejscu jeziora była łąka, człowieku.
Chodziły tam krowy i jadły trawę,
owady i ptaki miały dobrą strawę.

Kiedyś chłopiec pasał krowy,
dzisiaj trwają rybne łowy.
Piękno przyrody wczoraj i dziś,
chciałby podziwiać człowiek i miś.

Kiedyś trawa, łąka, drzewa,
dziś jezioro źle się miewa.
Dzieci dumne były z jeziora,
lecz dorośli zrobili z niego potwora.

I nie wiem, co lepsze: łąka czy jezioro?
Ważne, by w tym miejscu nie zostało bajoro.
Piękny widok, góry, lasy i zwierzęta,
teren do spacerów to wielka zachęta!

Moja łąka

Wierzby rosochate, strażniczki przydrożne, wyznaczające szlaki
pielgrzymom.

Drogi do celu, a może donikąd?

Krowy bez celu, bez przyszłości, tak jak wielu z nas, jesteśmy dla
samej istoty,

Istoty istnienia.

Bez większego sensu życia.

Żyjemy w stadzie, a jednak osobno.

A może by żyć inaczej?

Z głębszym sensem,

Z dobrocią, miłością i szacunkiem do każdego, choćby najmniej-
szego stworzenia?

I tak jak ta topola pyląca mieć szerszy i dalszy horyzont i podążać
za swoimi celami?

Za swoimi marzeniami?

Ku wysokim szczytom osiągnąć, nie ściągając nikogo w przeszłość.

Uważajmy, by przez innych, nam podobnych, nie zostać ściągnię-
tym w dół.

Podążajmy za marzeniami, uszczęśliwiając innych.

Wtedy sami będziemy szczęśliwi .

Nauczmy się żyć w harmonii z innymi ludźmi.

A podobni będziemy do ideału piękna, jakim jest łąka.

Zmiany

Jest łąka, na niej krowy.

Obok tkacze i osnowy.

Dierig jest zadowolony.

Mijają lata...

Nie ma łąki, nie ma krów.

Jest jezioro i jest wyspa.

Obok Bielbaw życiem tryska.

Mijają lata...

Nie ma wody, nie ma wyspy.

Po zakładach został gruz.

Bielawianie są stroskani.

Rozwijamy się, czy upadamy?

Agnieszka Szymańska

Łąka Dierigów

Rozległa łąka wokół Bielawy,
Czyste powietrze i ruch nieduży.
Najbliższa woda – Owiesna stawy,
Co okolicznym mieszkańcom służy.

Sielski obrazek za serce chwyta:
Krowy po rannym przyszły udoju,
Las wyrąbany na górskich szczytach,
Oaza szczęścia, ciszy, spokoju,

Soczysta trawa, kwiaty i zioła,
Mała pasterka za byczkiem skryta.
Lecz któż ten nastrój opisać zdoła,
Jeśli to droga dawno przebyta?

Wszystko podobne, a jakże inne.
Drugiego jakby krajobraz świata.
Moich pradziadków czasy dziecinne,
A mam już przecież też swoje lata.

Czego brakuje na tym obrazku?
Słupów, co ciężkie dźwigają druty,
Ryku silnika o słońca brzasku.
Pędzi samochód dymem osnuty.

Nie ma już łąki i krów już nie ma.
Pastuszek stracił zajęcie swoje.
Życie kolejny pisze poemat.
O zbiornik wodny toczono boje.

I tylko słońce jak dawniej świeci
I takie same białe obłoki.
Nie pasą bydła nieletnie dzieci.
Tylko Gór Sowich te same stoki.

Wspomnienie

Pod błękitnym niebem na dużej przestrzeni
pasły się bydłęta na soczystej zieleni.
Wietrzyk je otulał, słońce ogrzewało,
szczególnie cielaczkom to się podobało.

Łąka Dierigów u podnóża Gór Sowich
dodawała zwierzętom doznań mnogich.
Po łące zostało już tylko wspomnienie,
bo w tym miejscu nastąpiło zatopienie.

Zniknęły kwiaty, trawy i drzewa,
bo w podwodnym świetle ich nie potrzeba.
Za to są ryby, płazy i raki
a te dwa światy łączą ptaki,

Co po błękitnym niebie szybują,
gdy zajdzie potrzeba, w jeziorze nurkują.
Szukają wspomnień o dawnych dziejach,
myślą o łące w cichych marzeniach.

O tym, jak kiedyś tu, na polanie,
leżały cielaczki w błogostanie.
I rosły kwiaty, trawy i drzewa,
a dziś w tym miejscu ich już nie ma.

Wszystko się zmienia, czas szybko płynie.
Nasze życie też w mig przemienie.
Zostaną zdjęcia, jak to, o tej łące,
na której były bydłęta się pasące.

Łąka Dierigów

O historyjo nasza bielawska,
tyle nam dajesz wyobrażenia
o naszym mieście ukochanym,
o jego ludziach i dawnych dziejach.

Kiedyś Christian Dierig zakład założył,
by prześcieradła i barchany tworzyć.
Dla ludzi praca dzięki temu była,
lecz od powstania tkaczy i tak się fabryka nie uchroniła.

Brać tkacka dom i fabrykę zajęła,
Dieriga na poważne koszty zniszczeń naciągnęła.
Christian zakład przekazał swym synom,
to oni byli dla tkaczy nadzieją jedyną.

Wilhelm i Fiedrich prężnie działali,
„Gebrüder Dierig” swój zakład nazwali.
Interes świetnie osiągał zyski,
że nawet po wojnie Polacy mieli z niego korzyści.

Zakład się kończył na łące pod górami,
gdzie miejscowi rolnicy stada wypasali.
Krówki tam trawkę skubały,
na piękne góry uwagi w ogóle nie zwracały.

Bielawianie na łące chętnie czas z rodzinami spędzali,
więc wraz z Bielawu pracownikami sztuczny zbiornik wykopali.
Dla zakładu powstał zapas wody,
dla bielawskich mieszkańców piękne miejsce dla ochłody.

Różne historia zatacza kręgi,
dziś nie ma już zakładu, wspaniałej potęgi.
Przemysł włókienniczy jest dzisiaj wspomnieniem,
choć w herbie Bielawy czółenko widnieje.

Obcy ludzie dzierżawę na zbiornik podpisali,
cały urok „Sudetów” w ten sposób zniwelowali.
Nie ma też, gdzie odpocząć od nerwów,
bo zbiornik „Sudety” zamiast wody ma mnóstwo śmieci i mętów.

Marcelina Wagiel

Łąka

Na pewnej łące pasły się dwa zające.
Ta łąka mieściła się w Bielawie,
powiedziała mi pewna pani
siedząca na trawie.
I wciąż tak mówiła:
„W miejscu tej pachnącej łąki,
teraz jest wielki zbiornik wodny.
Zwie się on „Sudety”.
Każdy się w nim kąpie i
bawi się wesoło.
Gdy tylko przyjdzie czas na zabawę
w piasku odnajdziesz frajdy wiele.”
Wciąż opowiadała nieznajoma,
że odbywały się na zbiorniku
koncerty, imprezy i gwiazd było wiele.
I tylko chwaliła, chwaliła bez końca
ta miła pani na trawie siedząca.

Dominik Wojtko

Mam przed oczami przemiły widoczek:
Na niebie mały różowy obłoczek,
A wszystko wkoło spowite przez ciszę –
Poczekaj – może to wszystko opiszę.

Na lewo widzę jezioro, co drzemie,
Słońce ostatnie w nim topi promienie –
Parzę na słonko i widzę, że właśnie
Dotyka wody i za chwilę zgaśnie.

Dokoło cisza i piękna pogoda,
I ta jeziora niezmącona woda.
To jezioro w Bielawie o słońca zachodzie –
Słońca, co właśnie u tonęło w wodzie.

Drzewa spokojnie chylą się nad wodę
Mamy tu i ciszę, i piękną pogodę
Stoję i patrzę, niedowierzam oczom
Och, jak tu pięknie, cicho i uroczo.

Jednych zachwycają egzotyczne kraje,
A ja dziś myślę, a mnie tak się zdaje,
Że najpiękniejszy na świecie widoczek:
Nasze jezioro, a nad nim obłoczek.

Proza

Niespodziewana wycieczka

Jakie one piękne! – z zachwytem oglądałam pozawijane, iskrzące się w świetle żarówki wzory, które przez noc namalował na oknach ostry mróz. Cudne, rozgałęzione listeczki ozdabiają wdzięcznie, a im dłużej im się przyglądałam, tym więcej zauważałam szczegółów i nowych kształtów. Ich urok jest tym większy, że można je podziwiać tylko zimą. Za oknem zaczął prószyć śnieg, kładąc nową warstwę puchu na i tak już białą ziemię, góry, budynki. Miło tak było siedzieć i podziwiać tworzący się zimowy krajobraz, ale nie miałam już na to czasu, bo umówiłam się z przyjaciółmi, a obiecałam sobie, że chociaż tym razem będę punktualna. Zeskoczyłam z parapetu i spojrzałam na termometr za oknem. Było zimniej niż się spodziewałam. Włożyłam najcieplejszą kurtkę i zbiegłam po schodach. Spieszyłam się jak mogłam, biorąc pod uwagę śliską ulicę. Jakimś cudem dotarłam na miejsce spotkania bezwypadkowo i na czas.

Szliśmy powoli główną ulicą w stronę jeziora. Zdążyło się już ściemnić, ale cieszyłam się, że zdecydowaliśmy się iść pieszo zamiast jechać samochodem. Byłoby, co prawda, cieplej i szybciej, ale zimowy spacer nocą i zabawa śniegiem warta była tego, aby wytrzymać mróz szczypiący w uszy i nos. Dotarliśmy wreszcie do schodów prowadzących na brzeg jeziora. Wspięliśmy się ostrożnie na górę, trzymając się mocno poręczy. Kiedy pokonaliśmy wszystkie stopnie, od razu rzuciło mi się w oczy, jak niesamowicie wygląda tafla zamrożonej wody, a nad nią księżyc, który akurat był w pełni i rzucał srebrne światło na całą scenę i każdy płatek śniegu osiadający na lodzie. Po chwili testowaliśmy już grubość lodu, aby sprawdzić, czy da radę nas udźwignąć. Wydawał się mocny, więc skierowaliśmy się nieco bardziej w stronę środka jeziora. Odgarnęliśmy śnieg z niewielkiej części lodu i ślizgaliśmy się w najlepsze. Nie mieliśmy łyżew, ale grube podeszwy zimowych butów sprawdzały się równie dobrze w amatorskiej jeździe na lodzie. Bawiliśmy się genialnie!

Odjechałam trochę dalej, aby wziąć porządną rozpęd, obróciłam się i sunęłam z wielką prędkością przed siebie. Jechałam coraz szybciej i szybciej, ale miałam przed sobą tyle przestrzeni, że w ogóle się tym nie przejmowałam. Moi przyjaciele zostali w tyle i nie próbowali już nawet za mną nadążyć, a ja niestrudzenie mknęłam przed siebie, aż w pewnym momencie usłyszałam nieoczekiwany odgłos, jakby coś pode mną trzasnęło. Zwolniłam nieznacznie, ale tylko tyle zdążyłam zrobić, bo nagle załamał się lód i wpadłam do lodowatej wody. „Jaka zimna, ratunku!” – pomyślałam, zanim straciłam przytomność. Ciemno, zimno, cicho... „Chciałabym się już obudzić, obudźcie mnie!” Odzyskałam wreszcie czucie i pierwsze, co do mnie dotarło, to to, że jest mi niezwykle ciepło. Za ciepło. Przecież jest luty... Czy ja czuję zapach kwiatów? Stokrotki? Otworzyłam oczy i zobaczyłam nad sobą błękitne niebo, a na nim słońce, które ogrzewało mnie mocno i raziło w oczy. Ręką wyczułam, że leżę na trawie, zielonej, pachnącej. Była zima! Jak to możliwe? Podniosłam się powoli i rozejrzałam dookoła. Dopiero wtedy zauważyłam, że nie mam już na sobie zimowej kurtki, a letnią, czerwoną sukienkę i słomiany kapelusz na głowie. Wyglądało na to, że znajduję się na środku ogromnej zielonej łąki, otoczonej z każdej strony górami i lasami. Chyba była wiosna, bo na łące nie brakowało kwiatów, słońce świeciło mocno, a niedaleko pasły się krowy. Gdzie jestem? Byłam przecież na środku jeziora, wpadłam do wody, była zima! Moment... środek jeziora – ta łąka otoczona jest górami zupełnie jak ono...brakuje tu tylko wody i jest inna pora roku. Poza tym wszystko się zgadza. Jestem więc tam, gdzie byłam, tylko krajobraz się zmienił. No i nie ma moich przyjaciół. Stałam tak chwilę i zastanawiałam się, jak to wszystko jest możliwe. Byłam tak zamyślona, że nie zauważyłam kierującego się w moją stronę chłopca. Podskoczyłam przestraszona, kiedy spytał, kim jestem. Przedstawiłam się i dowiedziałam, że jemu na imię Jurek, a krowy pasące się blisko nas należą do jego ojca. Chłopiec wydał mi się trochę młodszy ode mnie. Także miał kapelusz na głowie i niebieskie spodenki na szelkach, a w ręku kolorowy latawiec. Przypominał mi kogoś... Po rozmowie z nim dowiedziałam się, że mamy rok 1935. Postanowiłam nie wspominać, że jestem z przyszłości, bo i tak by mi nie uwierzył. Stwierdziłam, że sama wymyślę, jak

wrócić do 2013 r. Jak to zrobić? Jurek spytał, skąd jestem, więc na poczekaniu wymyśliłam, że niedawno się tu przeprowadziłam i po prostu zapomniałam, którą drogą wrócić do miasta. Zaproponował, że pokaże mi drogę, ale poprosił też, abym pobawiła się z nim latawcem. Czemu nie? Nigdy wcześniej tego nie próbowałam. Pogoda była wprost wymarzona i już po chwili wielobarwny latawiec mknął po niebie, a my za nim po ziemi. Jak to możliwe, że nigdy tego nie próbowałam? Po kilku godzinach zabawy padliśmy zmęczeni na trawę. Zerwałam kilka stokrotek i wplotłam je sobie we włosy. Już dawno nie bawiłam się tak dobrze. Nie mogłam pozbyć się wrażenia, że skądś znam Jurka. W miarę upływu czasu domyśliłam się, z kim rozmawiam. To był mój dziadek! Dlatego tak dobrze nam się rozmawiało! Po chwili odpoczynku wróciliśmy do zabawy, ale zbierały się chmury, więc niedługo musieliśmy wracać.

Ostatni raz pobiegłam przez łąkę, trzymając latawiec na sznurku. Biegłam coraz szybciej i szybciej za kolorowym kształtem na niebie. Zagrzmiało lekko. Zaraz trzeba było kończyć zabawę i udać się do miasta szukać pomocy w powrocie do przyszłości. Zanim jednak pomyślałam, aby zwinąć latawiec, zobaczyłam oślepiający błysk tuż przede mną i poczułam, jak od góry do dołu sznurka przechodzi prąd i uderza we mnie. Nie doznałam bólu, jak się spodziewałam, ale wrażenie było dziwne i straszne. Zamknęłam oczy i z krzykiem puściłam sznurek. Nagle zapanowała cisza, którą przerywały jedynie szepty ludzi zgromadzonych dookoła mnie. Obudziłam się na szpitalnym łóżku i kątem oka zobaczyłam kalendarz na ścianie. Rok 2013. Wróciłam! Może to był tylko sen? Po zapewnieniu, że czuję się już dobrze po upadku do wody, zaczęliśmy z przyjaciółmi tworzyć plany na przyszły weekend. Miała być piękna pogoda. – Możemy wynająć łódkę i popływać nią po jeziorze. Co wy na to? – Nigdy nie puszczaliśmy latawców, może spróbujemy czegoś nowego? – zaproponowałam śmiało. – Mam dosyć pływania na dłuższy czas... – westchnęłam i założyłam ręce za głowę. Poczułam, że mam coś we włosach. Sięgnęłam po to dłonią i zobaczyłam małą stokrotkę.

Świat Duchów

Około XIV wieku w Bielawie żyło dwóch braci – Adam i Jakub. Adam miał szesnaście lat, natomiast Jakub czternaście. Mieszkali oni z matką, Zofią, i ojcem, Arturem. Ich ojciec był chłopem.

Pewnego dnia tata Adama i Jakuba wyszedł na łąkę. Znalazł dziwny tunel, który był wykopany koło dużego głazu. Obok niego stała kamienna tablica z wyrytym napisem: *Kto wejdzie tu, nigdy już nie wyjdzie*. Przeraził się, jednak wszedł do środka, ponieważ był ciekaw, co tam zastanie. Wewnątrz panowała ciemność. Ściany pokrywały plamy krwi oraz pajęczyny. Na podłożu leżały kości. Przestraszony ojciec chciał uciec, jednak usłyszał czyjeś kroki. Zaczął biec tunelem. Dotarł do jakiejś sali. Było cicho. W powietrzu unosił się dziwny zapach. Nagle usłyszał czyjs śmiech. Zapaliło się światło. Oczom Artura ukazał się skrzydlaty stwór z długimi szponami i rogami. Miał ciemnoszarą skórę. Był odziany w postrzępioną, czerwoną szatę i długi płaszcz. W ręce trzymał kostur.

– Jestem Adrauth. Wstąpiłeś do Świata Duchów – Morthlandu, którego jestem władcą. Za swoją ciekawość drogo zapłacisz. Zapewne widziałeś krew oraz kości. To ślady po innych śmiertelnikach, którzy śmieli wejść do Morthlandu. Trzeba było przeczytać tabliczkę obok wejścia – powiedział stwór.

– Nie! Proszę, pozwól mi wrócić do domu! – krzychał Artur. Jednak to nie poskutkowało. Stwór podniósł kostur i uniósł mężczyznę do góry. Wymówił słowa w starożytnym języku i otworzył się ciemny portal, z którego było słychać jęki i krzyki. Wrzucił tam człowieka i zamknął go, opuszczając łaskę.

Ojciec chłopców zawsze wracał do domu na kolację. Tym razem nie wrócił na noc. Jego rodzina zaczęła się martwić, że coś się stało. Najstarszy syn poszedł do miasta szukać ojca. Młodszy chłopiec też chciał pomóc. Rzekł do matki:

– Matko, pójdę pomóc mojemu bratu w poszukiwaniach. Wyruszę

na pole.

– No dobrze. Tylko wróć, zanim się ściemni.

Jakub jak powiedział, tak zrobił. Poszedł na miejsce pracy ojca. Odkrył dziwny tunel. Zastanawiał się, czy wejść. Uczynił to mimo ostrzeżenia na tabliczce. Zszedł na dół i poszedł przed siebie. Znalazł salę tronową. Schował się za kolumną, gdyż zobaczył Adrautha, który krzyczał do sługi:

– Znajdźcie tego intruza!

– Tak jest, panie – odpowiedział służący.

Władca Morthlandu oddalił się mrocznym tunelem. Chłopiec zaczął się rozglądać. Zobaczył kawałek koszuli. Miał przecucie, że należała do jego ojca. Przeraził się. Postanowił jednak go odnaleźć. Usłyszał strażników, którzy szli do sali tronowej. Uciekł do biblioteki. Znajdowało się tam dużo książek i dziwny stół. Wziął pierwszą książkę. Było na niej napisane *libri damnati*, co w tłumaczeniu z łaciny oznacza „księga potępionych”. Otworzył ją. Litery były najwyraźniej jakimś szyfrem. Położył ją na stół. Niespodziewanie uniosła się i zaczęła lewitować. Chłopak się odsunął. Po chwili znalezisko opadło na stół. Jakub zjrzał do księgi. Litery były już czytelne. Przeczytał głośno pierwszy wers. Przed nim pojawiła się krowa. Chłopak zastanawiał się, co się stało. Pomyślał, że najwyraźniej jest to księga czarów. Przeczytał drugi wers i w jego ręce pojawiła się ciemna kula, która była bytem niematerialnym. Zorientował się, że to broń. Rzucił nią w ścianę. Uderzenie usłyszała straż. Wpadła do biblioteki. Jakub wziął książkę i uciekł. Powtórzył dwa razy wcześniej wypowiedziany wers. Rzucił kulami w strażników i nauczył się na pamięć około dziesięciu zaklęć, po czym wrócił do sali tronowej. Zobaczył otwarty portal. Z ciemności wyłoniła się postać władcy Morthlandu.

– Dzielnie walczyłeś, jednak podzielisz los innych ludzi, zabiję cię. Zreinkarnujesz się jako krowa. Mentalnie i fizycznie. Koniec gadania, giń! – krzyknął Adrauth.

– Nigdy – powiedział chłopak i schował się za kolumną. Rzucił dwiema kulami w potwora. On się tylko zaśmiał. Portal zaczął wciągać chłopca, który wpadł do jego środka razem z bestią. Użył zaklęcia tarczy, chroniąc się w ten sposób przed promieniem, który miał go zamienić w krowę. Nagle znalazł się na łące, na której pracował jego

ojciec. Jednak już nie było tu pusto. Wokoło pasło się bydło. Najwyraźniej przebywali w alternatywnym wymiarze. Król Duchów podniósł kostur i zniszczył jednym promieniem tarczę chłopca. Jednak syn Artura nie poddał się. Sięgnął po księgę czarów i wymówił zaklęcie. Zamroził Adrautha. Następnie przeczytał kolejne wersy. Stwór zaczął opadać z sił. Jego moc trafiła do dziwnego kamienia. Jakub miał wybór: mógł posiąść moc, stać się stworem i być władcą Morthlandu lub zniszczyć kamień i zmieszać tym sposobem alternatywny wymiar ze swoim światem. Zdecydował zniszczyć zaklęciem głaz. Zemdlął, a gdy się obudził, popatrzył na jedną z krów. Miała na głowie czapkę jego ojca.

– Tato! – krzyknął.

Jednak zwierzę nie zareagowało i dalej się pasło.

Wrócił do domu i opowiedział wszystko matce i bratu. Nie uwierzyliby mu, gdyby nie to, że miał księgę czarów. Dowiedziała się o tym cała Bielawa. Jakub zyskał szacunek ludzi i miano bohatera. Nie podzielił losu swojego ojca, został rycerzem i służył ojczyźnie.

Aleksandra Chmielewska

– Ładnie tutaj, ale co wy chcecie tu robić? – mruknęła Zuza. Nikt jej nie odpowiedział. Wszyscy zajęci byli rozmową.

– Ale tu pięknie! – powiedziała Martyna. Znajdowali się na łące, na której pasły się krowy, a wokół rozpościerał się piękny krajobraz pasma górskiego.

– Mogę tak tu leżeć cały dzień – powiedział Oskar, kładąc się na jeszcze mokrej od porannej rosy trawie. Kacper i Wojtek usiedli obok niego, a Laura, Martyna, Ola i Zuza położyły się kawałek dalej.

– Słyszałyście tę opowieść o staruszce i jej wnuczce? – zapytała Zuzka.

– Nie – odpowiedziały chórem pozostałe trzy dziewczyny.

– A więc to było tak... – zaczęła opowiadać, a przyjaciółki uważnie jej słuchały. – Pewna starsza pani wraz ze swoją wnuczką udały się na tę właśnie łąkę, aby wydoić pasące się na niej krowy. Gdy już skończyły, zmęczone usiadły w cieniu drzewa. Pograżone w rozmowie nie zauważyły, że niebo spochmurniało i zaczęło lekko kropić. Gdy krople deszczu złączyły się i strumieniami spływały z liści drzewa na ich ramiona i gdy coraz to silniejsze podmuchy wiatru owiewały ich twarze, one dalej rozmawiały. Jednak gdy krowy zaczęły muceć wystraszone i biegać w różne strony, Joanna, jakby wybudzona z głębokiego snu, przerwała w połowie zdania i spojrzała znacząco na swoją babcię. Dziewczyna wstała i pomogła podnieść się staruszce. Mokre i zmarznięte wyszły spod prowizorycznego schronienia, jakim było drzewo, i ruszyły przed siebie wpatrzona w ziemię. Łup! Joasia oszołomiona upadła na ziemię. Leżała chwilę, pozwalając, aby krople deszczu spływały jej po twarzy. Wstała. To, co zobaczyła przed sobą, omal nie sprawiło, że znowu upadła. Drzewo, to samo drzewo, pod którym jeszcze chwilę temu siedziała pograżona w rozmowie ze swoją babcią. Odwróciła się. Znów, znów to samo drzewo. Stało przed nią, a dziury wydrążone w korze wyglądały jak oczodoly, puste i ciemne. Dziewczyna wiedziała, że jakby to drzewo mogło mieć oczy, to byłyby one skierowane w jej stronę, a w ciemnych jak

noc żrenicach widziałyby swoje odbicie, zobaczyłyby swoją mokrą i przerażoną twarz. Głęboka czern i pustka sprawiały, że dziewczyna bała się i stała nieruchomo wpatrzona w dziury...

– Ha! ha! ha! Ha! – wybuchnęła śmiechem Martyna. – Drzewo z oczami? – spytała samą siebie.

– Joanna! – Nawoływania staruszki wyrwały Joasię ze stanu zapażenia. Zaczęła się obracać, aby wyszukać babcię wzrokiem. Nie widziała nic. Gdzie się nie obróciła, tam drzewo przesłaniało jej widok. Potworny ból głowy sprawił, że dziewczyna złapała się za głowę i padła na ziemię...

Zuza kontynuowała przerwana wypowiedź, podczas gdy Martyna skupiła się na obserwowaniu nieba i chmur.

– Gdy się obudziła, ujrzała swoją babcię siedzącą przy krowie. Pobiegła do niej. Stanęła przy staruszce i zaczęła mówić, jak bardzo się cieszy, że ją widzi. Dziewczyna mówiła i mówiła, jednak babcia nie zwracała na nią uwagi. Coś jej się nie zgadzało.

– Babciu! – krzyknęła. – Babciu! Babciu! Babciu!... – usłyszała echo. Spróbowała jeszcze raz, jednak tym razem nie usłyszała echa. Nie usłyszała nawet, co krzyknęła. Mówiła i krzyczała, ale żaden dźwięk nie wydobywał się z jej ust. Zauważyła, że staruszka oddalała się od niej, a ona nie mogła nic z tym zrobić.

Ola i Laura z zaciekawieniem przysłuchiwały się opowieści, a Martyna przyglądała się im z lekkim rozbawieniem. Odwróciła się na plecy, aby kontynuować obserwację. – Oglądanie chmur to niezbyt ciekawe zajęcie – stwierdziła w myślach. – Nie wiem, dlaczego innych to tak interesuje, przecież co takiego... – przerwała zafascynowana tym, co udało jej się wypatrzeć: pomiędzy dwiema chmurami zobaczyła mały, okrągły obiekt. Z pewnością nie był to ptak.

– Na co patrzysz? – spytał Wojtek, który nie wiadomo kiedy znalazł się przy Martynie razem z Oskarem i Kacprem. Oni także słuchali opowieści.

– Widzisz te dwie duże chmury? – zapytała. Nieznacznym ruch głowy kolegi uznała za znak, że widzi on owe chmury. – Pomiędzy nimi widać małe, okrągłe „coś”. To właśnie na to „coś” patrzę – powiedziała. – Może nie jestem zbyt mądry – zaczął Wojtek – ale wydaje mi się, że to twoje „coś” się do nas zbliża.

– Masz rację – stwierdziła Martyna. Okrągły obiekt nieznacznie przybliżał się do nich. Im bliżej był, tym lepiej było widać jego wielkość.

– To nie wygląda za dobrze – powiedziała przestraszona dziewczyna.

– Co nie wygląda za dobrze? – zainteresowali się pozostali. Martyna nie mogła wydusić słowa i tylko palcem wskazała na niebo. Okrągły obiekt był coraz bliżej i coraz szybciej spadał.

– Biegnijcie – zwrócił się Kacper do dziewczyn. – My weźmiemy torby i plecaki – powiedział, po czym z Oskarem i Wojtkiem wzięli wszystkie rzeczy.

– Chyba...wystarczy... – wydyszała Laura, łapiąc oddech. Chłopcy rzucili torby na ziemię i usiedli. Znaleźli się w wystarczającej odległości od miejsca, gdzie miał za chwilę spaść obiekt, który spowodował to, że tak nagle zerwali się ze swoich miejsc. Pozostało im tylko czekać.

Nie trwało to długo. Siła, z jaką „coś” uderzyło o ziemię, była na tyle wielka, że przyjaciele w jednej chwili leżeli na ziemi oszołomieni. Trochę czasu minęło, zanim wszyscy wstali, gdy jednak byli z powrotem w pełni sił, postanowili zbadać tajemniczy obiekt. Dziura w ziemi była dość duża. Tajemniczym obiektem okazał się meteoryt wielkości strusia.

– Nic ciekawego... – zaczął mówić Oskar, jednak przerwał, ponieważ meteoryt pękł. Nie było to wielkie pęknięcie, ale po chwili zaczęło się powiększać. Łup! Jedna część odpadła, ukazując środek. Wewnątrz znajdowało się coś bliżej nieokreślonego. Małe, białe zawiniątko.

– Prrr...

– Co to było? – spytał Wojtek.

– Wydaje mi się, że to ten meteoryt – odpowiedziała Laura.

– Nie. Ten dźwięk wydało to „coś” ze środka. – powiedziała Ola, po czym zeszła do dziury i podeszła do zawiniątka. Biała kulka poruszyła się i stoczyła na ziemię. Dopiero teraz było dokładniej widać, co to jest. Małe zwierzątko, nie dłuższe niż dwie stopy dorosłej osoby i nie grubsze niż kura. Miało gęste, puszyste, białe futro, spod którego ledwo widoczne niebieskie oczka parzyły na Olę. Futro przykrywało także jego mały jak u kotka nosek. Zwierzątko przewróciło się na plecy, jakby chciał, aby pogłaskano go po brzuszku. Dopiero teraz widać

było jego drobne, zupełnie nieproporcjonalne do reszty nóżki. Ola wzięła go na ręce, aby móc się mu lepiej przyjrzeć. Dopiero teraz zobaczyła dziwne podłużne kreski po obu stronach jego pyszczka.

– Nic ci nie jest?! – wołali zatroskani przyjaciele.

– Nie, nic mi nie jest. Już do was idę – powiedziała, po czym wspięła się na górę.

– Co to jest? – pytali, przyglądając się przerzuconemu przez jej szyję stworzonku, które wyglądało na niej jak boa z piór.

– Nie wiem – odpowiedziała dziewczyna.

– Nazwijmy go... albo ją... Agnes – powiedziała Laura. Przyjaciele rozważyli to i zdecydowali, że jest to odpowiednie imię, zwłaszcza, że nie wiedzą, czy to on, ona czy ono.

– No, Agnes, zejdź – powiedziała Ola, a zwierzątko posłusznie przeniosło się z jej szyi na ręce. Zuza, chcąc przyjrzeć się oraz pogłaskać Agnes, przysunęła się i wyciągnęła rękę w jej stronę. Wystraszone stworzenie zeskoczyło zwinnie na ziemię i zaczęło szybko pełznąć przed siebie.

– Biegnijmy za nim, zanim ucieknie gdzieś daleko! – powiedziała, już biegnąc, Ola. Chłopcy złapali torby i wraz z Martyną, Laurą i Zuzą starali się dogonić przyjaciółkę. Biegli dość spory kawałek, nim ją ujrzeni wbiegającą do budynku. Jako pierwszy z biegnących zatrzymał się Kacper. Ledwo łapiąc powietrze, usiadł na ziemi i czekał na pozostałych. Chwilę później obok niego znalazła się też Martyna, Zuza, Laura i Oskar. Wojtek dobiegł ostatni i tuż przy nich potknął się i upadł na ziemię.

– Oj, rudy, rudy – powiedziała Martyna i wszyscy wybuchnęli gromkim śmiechem.

– Tak w ogóle to gdzie jesteśmy? – spytała Zuza.

– To są zakłady „Christian Dierig AG” – odpowiedział Oskar, wskazując na budynek znajdujący się przed nimi. Po chwili wstał, otrząpał spodnie i ruszył w kierunku wejścia. Pozostali także się podnieśli i dołączyli do niego.

– Wchodzimy?... – spytała Laura zapatrzona w wylatującą z okna szybę. Roztrzaskane szkło zamieniło się w tęczy dym, który ulatując w górę, mieszał się z blaskiem tęczy laserów, które wystrzeliły z okna.

– To chyba mówi samo za siebie – powiedział Wojtek i pchnął drzwi. – Zamknięte – stwierdził – musimy poszukać innego... – zaczął, lecz nie skończył wypowiedzi, ponieważ zobaczył nad klamką nalepkę, na której napisane było: „Ciągnąć”. Chwycił więc za klamkę i pociągnął drzwi do siebie. Weszli do środka i wbiegli po schodach na samą górę. Szli wąskim korytarzem, mijając masę drzwi. Jedne zamknięte, a drugie otwarte. Gdy tylko ujrzeni kolorowe lasery, od razu pobiegli w ich stronę. Znaleźli się w dużym pomieszczeniu, w którym spokojnie pomieściłoby się sto osób. Na środku zobaczyli małą, białą kulkę, która na wszystkie strony emitowała około dziesięciu kolorowych laserów. Wszystkie skierowane były do sufitu pod kątem siedemdziesięciu lub osiemdziesięciu stopni. Gdyby połączyć je jedną linią, otrzymalibyśmy koło, w którym ktoś narysował tęczę, takie wrażenie bowiem dawało światło, którym każdy z tych laserów świecił. W drugim końcu sali stała Ola, która małymi krokami zbliżała się do Agnes. Zwierzątko wydawało z siebie ciche pomrukiwanie i po chwili powoli zaczęło się także obracać. Każdy kolejny obrót był szybszy. W końcu zwierzątko poruszał się na tyle szybko, że lasery, które jeszcze chwilę temu można było policzyć, zmieszały się ze sobą w jeden kolorowy wir stopniowo poszerzający się niczym rozkwitający kwiat i zaczęły zajmować więcej miejsca na suficie. Stop. Zwierzątko się zatrzymało, wciąż wydając z siebie ciche pomrukiwanie. Ten moment sprawił, że nikt nie rozumiał, o co chodzi i co się właśnie stało.

– Lasery... – powiedziała Ola tak cicho, jakby nie chciała, żeby Agnes to usłyszała, ale żeby zrozumieli ją przyjaciele na drugim końcu sali. Jeszcze przed chwilą całkowicie zagubieni, w jednej chwili spojrzeli na zmieniające kolor lasery. Każdy z nich zaczął robić się czerwony. Jeden, czerwony niczym róża. Drugi czerwony jak niebo o zachodzie słońca. Inny czerwony jak krew, a jeszcze inny jak jarzębina. Później zaczęły opadać z góry na dół i z powrotem, a Ola zwinnie się przemieszczała między nimi, wciąż przybliżając się do Agnes. W pewnym momencie lasery zatrzymały się w połowie, w związku z czym wszyscy musieli upaść na ziemię, aby ich nie dotknąć. Powoli zaczęły się obracać w stronę przeciwną do ruchu wskazówek zegara, z każdym obrotem przyśpieszając. Wszyscy leżeli twarzami do ziemi, więc nie wiedzieli, co się dzieje. Ola postanowiła podnieść

głowę, aby móc lepiej przyjrzeć się sytuacji. To, co zobaczyła, sparaliżowało ją: lasery przecięły ściany w pół. Konstrukcja była bliska zawaleniu, więc dziewczyna postanowiła doczołgać się do Agnes. Nie wiedziała po co. Nie wiedziała, co robi, gdy już ją złapie, jednak nie było czasu się nad tym zastanawiać. Ruszyła do przodu. Nie słyszała niczego poza szumem przelatujących nad jej głową laserów. Była już blisko. Już chciała wyciągnąć rękę, gdy zrozumiała, że czegoś jej brakuje. Nie słyszała szumu. Lasery zniknęły. Bum! Górne połowy ścian zderzyły się z dolnymi. W wyniku uderzenia ściany zachwiały się, a na suficie pojawiło się pęknięcie przechodzące przez cały sufit. Zaczęły pojawiać się inne, odchodzące od niego pęknięcia skierowane w różne strony. Tynk sypał się ze ścian i sufitu. Ale konstrukcja wciąż stała. Kołysała się lekko, co miało sygnalizować, że najmniejszy ruch sprawi, że wszystko się zawali. Nikt się nie ruszał. Czas jakby nagle się zatrzymał. Każdy leżał przywarty do podłogi, ledwo oddychając i starając się nie robić gwałtownych ruchów. Leżeli i czekali. Nie wiedzieli na co, ponieważ nie mogli myśleć o takich rzeczach, bo musieli być czujni, w razie gdyby ktoś się poruszył lub wiatr mocniej zawaiał i wszystko zaczęło się walić. Słuchać było tylko ich oddechy, ciche pomrukiwanie Agnes oraz świst wiatru przedostającego się przez dziury w ścianach.

– O, nie... – pomyślała Ola, gdy zobaczyła, że Wojtek zamierza się do niepowstrzymanego kichnięcia. Wszystko wydarzyło się tak szybko...

Kichnięcie nie zawałiłoby konstrukcji, zwłaszcza, że Wojtek zamknął buzię, jednak przyjaciele przekonani, że tak właśnie się stanie, podnosili się najszybciej jak mogli, aby móc szybko uciec. Ich gwałtowne ruchy przyczyniły się do zachwiania się ścian. Sufit zaczął się walić. Ola lekko się uniosła, aby odepchnąć się rękoma jak robią to profesjonalni biegacze na zawodach. W biegu pochwyciła zwierzaka. Przyjaciele czekali na nią przy wyjściu na korytarz. Ściana zawaliła się tuż przed nią. Dziewczyna potknęła się i przeturlała po ścianie. Zatrzymała się gdzieś w połowie. Leżała na plecach, trzymając w wyciągniętych przed siebie rękach małe, puchate zwierzątko, którym Rafiki trzymający przed sobą Simbę. Już chciała wstać, jednak zobaczyła, że jedna część sufitu leci prosto na nią. Zamknęła oczy.

I nic. Nic się nie działo. Otworzyła lekko jedno, a potem drugie oko. Ujrzała, jak Agnes wypuściła z siebie coś, co wyglądało jak wielka bańka otaczająca je oraz stojących na korytarzu przyjaciół. Wielka bańka przytrzymywała część sufitu, która na nie spadała. Zwinięty zwierzak wyprostował się, co sprawiło, że membrana się naciągnęła i wystrzeliła, wyrzucając w powietrze kawałek sufitu. Wszyscy odetchnęli z ulgą, zupełnie nieświadomi, że to jeszcze nie koniec dziwnych wydarzeń.

Ściany, sufit, rury, filary i jarzeniówki leżały roztrzaskane na podłodze. Przyjaciele pobiegli korytarzem, zbiegli szybko schodami i wybiegli przed budynek. Stali przez chwilę i patrzyli. Widok ten nie był jednak miły dla oka, więc po chwili odwrócili się i ruszyli przed siebie, rozmawiając. Nie mówili jednak o tym, co się stało. Gaworząc i śmiejąc się, wrócili na łąkę. Dziura w ziemi wciąż tam była, a w niej rozbity na pół meteoryt.

– Co z nim zrobimy? – spytała Zuza.

Ola w odpowiedzi wzruszyła tylko ramionami.

– Byłoby łatwiej, gdyby umiał mówić – powiedziała Martyna.

Wszyscy stali przy zwierzaku, zastanawiając się, co dalej. Nie czekali długo na odpowiedź. Zwierzak podpełznął do wielkiej dziury i ześlizgnął się na dół. Podreptał w stronę meteorytu, a za nim Wojtek, Kacper, Martyna, Laura, Oskar, Zuza i Ola. Nie spodziewali się tego, co zobaczyli. Meteoryt okazał się dwuczęściową kapsułą pomalowaną tylko na jego wzór. Nikt nie przyjrzał się wcześniej drugiej części meteorytu, więc dopiero teraz wszyscy dostrzegli mały panel z masą przycisków umieszczony w środku. W tej samej części znajdowało się małe okienko. Ola wzięła Agnes ostatni raz na ręce.

– Więc teraz nas opuszczasz co? – zapytała, nie oczekując odpowiedzi.

Zwierzak tylko zamruczał. W tej chwili dziewczyna zrozumiała, skąd wydobywa się to mruczenie. Wydostawało się ono z dwóch kresek po bokach pyszczka. Ola uśmiechnęła się do siebie i położyła Agnes na ziemi, która od razu wpełzła do kapsuły, składając ją z powrotem w jedną, do złudzenia przypominającą meteoryt, całość. Wydostało się spod niej ciche brzęczenie, po czym kapsuła uniosła się i poleciała. Przyjaciele śledzili dokładnie jej lot, więc kiedy me-

teoryt był jeszcze na wysokości drzew, ujrzeli w okienku białą kulę patrzącą na nich radośnie. Z boku kapsuły wysunęło się coś na kształt ręki i pomachało w ich stronę.

– Dziwne jest to wszystko i cały dzisiejszy dzień – powiedział Wojtek.

– Ty też jesteś dziwny – powiedział Kacper, a przyjaciele roześmiali się i wrócili na górę, aby zabrać swoje rzeczy i rozejść się do domów, w których z uśmiechem wspominali nietypowy dzień.

Karolina Chrzan

U podnóża Gór Sowich rozłożyła się długa Bielawa. W 1927 roku mieszkało w niej około 18000 mieszkańców, głównie ludzie pracujących w przemyśle włókienniczym. W jednej z tkackich rodzin urodził się Adam. Kiedy dorósł, mógł pomagać swoim rodzicom.

Codziennie rano szedł na łąkę właścicieli największej bielawskiej fabryki, by pilnować bydła. Tego dnia, kiedy jak zwykle szedł po krowy, zobaczył coś wyjątkowego. Przy jednym z budynków stała garstka ludzi. Chłopiec podszedł do jednego z mężczyzn, stojącego najbliżej, i spytał, skąd to zbiegowisko. Zdziwił się, kiedy usłyszał, że w tym miejscu powstanie kino. Z głową pełną marzeń popędził krowy na łąkę pod górą. Kiedy już tam dotarł, wypuścił zwierzęta, a sam, rozmarzony, usiadł pod drzewem. Na zielonej łące myślał o magicznej sali kinowej, o tym, jak stoi w kolejce po bilety, wchodzi do sali, siada na swoim miejscu i czeka na film, a serce bije mu coraz mocniej i szybciej.

W sierpniu 1927 roku odbył się w Bielawie pierwszy seans filmowy. Marzenie chłopca się spełniło! Wraz z całą rodziną mógł doświadczać magii kina „Schauburg” – sprawnie działającego kina w Bielawie.

Szczęśliwy traf

W małej miejscowości u podnóża Gór Sowich mieszkał stary pasterz wraz ze swoim wnuczkciem Jankiem. Byli oni do siebie przywiązani i bardzo się kochali. Rodzice Janka zginęli w wypadku i od tamtej pory zajmował się nim dziadek. Nie wiodło im się najlepiej. Mieszkali w małej drewnianej chatce, bardzo ubogo wyposażonej. Posiadali jednak duży obszar pola, na którym codziennie stary pasterz pasł swoje krowy. Utrzymywali się ze sprzedaży mleka i codziennie rano Janek roznosił je pobliskim mieszkańcom, ponieważ starzec nie miał na tyle siły. Jednak to im nie wystarczało, żeby się utrzymać, i niekiedy Janek dorabiał u sąsiadów, wykonując różne proste prace. Był on drobnym chłopcem o blond włosach i chętnie pomagał innym. Wszyscy mieszkańcy bardzo go lubili i podziwiali za to, że jest taki zaradny i tak dobrze opiekuje się swoim dziadkiem. Miał dopiero 14 lat, a tak wiele potrafił. Wszystkiego nauczył go dziadek, kiedy miał jeszcze siły; jednak od jakiegoś czasu zaczął chorować. Janek, oprócz tego, że pomagał dziadkowi i opiekował się nim, znajdował też czas na naukę. Uczyl się sam, ponieważ nie było go stać na szkołę. Niekiedy pomagał mu zaprzyjaźniony nauczyciel. Janek bardzo chciał iść na studia, zawsze o tym marzył. Pragnął studiować medycynę, żeby pomagać chorym ludziom. Wiedział jednak, że nigdy jego marzenie się nie spełni, bo nie miał na to pieniędzy. Mijały lata. Janek osiągnął pełnoletność, ale dalej uczyl się i pomagał. Dziadek stawał się z dnia na dzień coraz słabszy, więc Janek musiał przejąć jego obowiązki i paść codziennie krowy. Było to dla niego męczące, gdyż nie miał wolnej chwili dla siebie. Pewnego dnia dziadek strasznie źle się poczuł. Janek szybko pobiegł po lekarza, jednak, kiedy ten przyszedł, było już za późno. Starzec zmarł. Chłopak został całkiem sam. Nie wiedział, co ma ze sobą zrobić. Pochował dziadka na cmentarzu i przez następne kilka dni nie wychodził z domu.

Mieszkańcy zaczęli się martwić i chodzili do Janka sprawdzać, co się dzieje, jednak on nikomu nie otwierał drzwi. Był załamany utratą najbliższej mu osoby. W końcu postanowił wyjść z domu. Chciał zakopać koło chatki pamiątki po dziadku, zaczął więc kopać dół. I wtedy natknął się na metalową skrzynię. Ostrożnie wyciągnął ją z ziemi i postanowił otworzyć. To, co w niej zobaczył, zaskoczyło go: skrzynia była pełna złota. Janek nie mógł w to uwierzyć. Przez tyle lat żył z dziadkiem w biedzie, a obok domu zakopany był skarb! Po chwili namysłu postanowił jak najlepiej wykorzystać swoją zdobycz: krowy porozdawał mieszkańcom, gdyż nie były mu już potrzebne, podarował też trochę złota najbliższym mu sąsiadom w podziękowanie za wcześniejszą pomoc. Planował wyprowadzić się i iść na wymarzone studia, ale wcześniej chciał jeszcze zrobić coś dla miasteczka, które było szare i nudne i nigdy nic się w nim nie działo. Janek miał jeszcze duże pole, ale nie wiedział, jak je wykorzystać. Nagle wpadł na pomysł, żeby wybudować tam jezioro, aby mieszkańcy mieli w wakacje jakąś rozrywkę. Pojechał do dużego miasta i zatrudnił robotników. Prace rozpoczęły się w wakacje. Na początku Janek doglądał budowy, potem jednak wyjechał na wymarzone studia. Osiedlił się w Warszawie, tam poznał dziewczynę i zamieszkał razem z nią. Po dwóch latach przyjechał do swojego miasteczka u podnóża Gór Sowich, aby zobaczyć efekt prac. Był zaskoczony, kiedy zobaczył gotowe duże jezioro, do którego woda napływała z gór. Pobliscy mieszkańcy przyszli przywitać Janka i podziękować mu za to, co zrobił dla miasta. Cieszyli się, że będą mieli gdzie się ochłodzić latem i łowić ryby. Janek był bardzo szczęśliwy, że wszystko się udało. Wrócił do Warszawy, po kilku latach wziął ślub ze swoją dziewczyną i został słynnym lekarzem. Co roku wraz ze swoją rodziną przyjeżdżał do rodzinnego miasteczka na wakacje nad jeziorem.

„Wszystko się zmienia. Wystarczy zamknąć oczy.”

W piątkowy wieczór siedziałam na strychu w domu mojej przyjaciółki Natalii. Od kilku godzin sumiennie wypełniałyśmy zadanie powierzone nam przez mamę Natalki i przyjmując na siebie kolejne porcje kurzu, sortowałyśmy książki.

– A! – krzyknęłam, kiedy z półki spadł na mnie jeden z opasłych tomów.

– Zobacz, to album – powiedziała mi przyjaciółka i usiadła na podłodze, kładąc książkę na kolanach. Gdy przeglądałyśmy stare zdjęcia, natrafiłyśmy na wyraźnie wiekową, czarno-białą fotografię. Przedstawiała piękny krajobraz: rozległa łąka, na której pasły się krowy, bawiły się dzieci, i malownicze góry w tle.

– To zdjęcie pewnie należało do moich dziadków – powiedziała Natalka. – Ale myślałam, że oni mieszkali w Bielawie.

– Może to jest w Bielawie? Tylko gdzie?

– Mogłabym zapytać cię o to samo. Mam! – krzyknęła Natalia w stronę klatki schodowej, ale odpowiedziało jej jedynie echo.

– Bierzmy się do roboty, bo nigdy nie skończymy układać tych książek.

Zanim tego wieczoru wyszłam z domu przyjaciółki, skserowałam fotografię. By samej nie głowić się nad nią, postanowiłam zapytać dziadka. Jego odpowiedź była prosta: to łąka Dierigów, znajdująca się niegdyś w miejscu, w którym obecnie znajduje się jezioro Sudety. Mówiąc ściślej: w miejscu, w którym niegdyś znajdowało się jezioro Sudety.

Gdy weszłam do pokoju, sięgnęłam po jeden z albumów leżących na regale. Dobrze wiedziałam, jakie zdjęcie chcę znaleźć. Płynnym ruchem wyjęłam zdjęcie z foli i położyłam je na biurku. Przedstawiało bielawski zbiornik w momencie świetności – kiedy tętnił życiem, kiedy wiele ludzi właśnie w tym miejscu spędzało wolny czas. Na blacie brakowało tylko jednej fotografii. Bez problemu znalazłam ją w Internecie, by chwilę potem wyjąć z drukarki jeszcze ciepłą. Jej

miejsce było teraz obok poprzednich obrazków. Pewnie wiecie, co przedstawiała: rozległa dziura w ziemi, po części porośnięta trawą, z kilkoma kałużami wody. Widok godny jedynie pożalowania.

Po chwili moja głowa napełniła się pytaniami. Ciekawe, ile lat miały dzieci z pierwszego zdjęcia? Co działo się z nimi potem? Kim były? Czego dokonały? To niezwykle, że aparat potrafi utrwalić jedną chwilę. Sekundę. Niewielką część długiego ludzkiego życia lub istnienia jakiegoś obiektu. Kiedy spojrzałam na drugą fotografię, wróciłam wspomnieniami do lata, kiedy z przyjaciółmi spędziliśmy tam całe wakacje na kąpielach w wodzie i zabawach na piasku. Tętniący życiem, pękający w szwach od ludzi zbiornik. Właśnie tak to pamiętam. Jakby wszystko miało trwać bardzo długo. Jakby świetność tego miejsca nie miała nigdy przeminąć, zamrzeć. Kto pomyślałby, że w niedalekiej przyszłości zamieni się ono w... Właśnie, w co? Przetarłam oczy, ale ciągle nie mogłam uwierzyć w to, co widzę. Mimo że wzrok czasem kłamie, teraz wcale nie oszukiwał. Czy to naprawdę to samo miejsce? Jak to możliwe, że w tak krótkim czasie rzeczywistość obróciła się o 180°.

Uświadomiłam sobie, że każda z tych fotografii przedstawia inną porę roku. łąka Dierigów jest wiosenna. Kwitnie, zapowiadając nadejście dobrych czasów. Drugie zdjęcie jest latem. Pięknym, upalnym, pełnym wrażeń. Trzeci obraz jest jesienią. Pozbawiającą drzewa liści, coraz chłodniejszą. Jednak, kiedy pomyślimy, wcale nie musi zwiastować zimy, która tym przypadku nie jest nieunikniona. Mam nadzieję, że po tej jesieni znów nastanie wiosna, która przywróci nadzieję na dobrą przyszłość tego miejsca.

Wyobraźmy sobie kolejną książkę, która trafia w nasze ręce. Szelest kartek kryjących

nową historię, charakterystyczny zapach... To wszystko z pewnością przyciąga zagorzałych czytelników, jednak prawda jest taka, że ludzie dzielą się na tych, którzy czytają książki, i takich, którzy po ten tradycyjny sposób sięgają rzadko.

Istnieje pewien sposób, by zachęcić człowieka do czytania: ilustracje. Kolorowe, cieszące oko, przykuwające uwagę małe dzieła sztuki. Z całą pewnością skutecznie potrafią skłonić książkowych leni do sięgnięcia po książkę. Kolorowa, ilustrowana opowieść jest gratką

dla najmłodszych czytelników. Dziecko mające wybór pomiędzy brzydkim szarym tomem, a tęcza książką z obrazkami na kredowym papierze na pewno wybierze to drugie rozwiązanie. Nie każdemu jednak „przypadłość” oceniania książki po ilustracjach przemija z wiekiem. Często nawet dorośli ludzie, kierując się wzrokiem, wybierają atrakcyjniejszą, kolorową powieść.

Prawdziwemu wielbicielowi książek nie przeszkadza jednak to, czy zawiera obrazki, ile ma stron, ani nawet jak wygląda jej okładka. Mimo tego, że wizja silnie działa na nas, wyobraźnia też potrafi wywrzeć wpływ na to, jak postrzegamy treść książki. Ilustracja często zamiast ubarwić, potrafi zmącić nam obraz miejsc i bohaterów wytworzony przez nas. Wyjątkowy, oryginalny, na własne potrzeby. Dlatego każdy ma inną opinię na temat książek i inne preferencje co do gatunków literatury. Można więc uznać, że „o gustach się nie dyskutuje.”

Moja niezwykła przygoda

Mam na imię Julka i mam 18 lat. Opowiem wam o mojej niezwykłej przygodzie, która zdarzyła mi się 6 lat temu.

Był naprawdę gorący dzień. Postanowiłam pójść nad jezioro. Założyłam swój nowy strój kąpielowy – był niesamowity, niebieski w fioletowe motyle. Wskoczyłam do wody. Na plaży nie było nikogo (oprócz ratownika), pogoda była wspaniała, czułam się bezpiecznie i postanowiłam ponurkować. Na dnie zobaczyłam piękny kamyk. Już miałam go prawie w dłoni, ale musiałam się wynurzyć, ponieważ zabrakło mi powietrza. Chciałam zanurzyć się z powrotem, ale usłyszałam mój telefon i od razu wyobraziłam sobie wściekłą mamę. Podbiegłam pod drzewo, tam gdzie rozłożyłam koc, i odebrałam. Oczywiście, dzwoniła moja mama z pytaniem, czy wszystko u mnie w porządku. Kiedy skończyłam rozmawiać, już chciałam wracać do wody, ale usłyszałam gwizdanie. Obejrzałam się i zobaczyłam jakiegoś chłopaka. Miał piękne brązowe włosy, które opadały na twarz bujną burzą loków. Jego przenikliwe zielone oczy patrzyły na mnie i poczułam się trochę niezręcznie. Jego usta na mój widok same układały mu się do uśmiechu, co było ciekawe, ponieważ widziałam go pierwszy raz w życiu. Podeszedł do mnie i powiedział:

– Cześć, Julka!

Zdziwiłam się, bo znał moje imię.

– Gdzie byłeś? Martwiłem się o ciebie.

Wtedy spojrzałam do tyłu, aby sprawdzić, czy mówi do mnie. Nie zobaczyłam żadnej innej dziewczyny. Zauważyłam, że brakuje jeziora! Byłam na jakiejś łące, na której pasły się krowy. Już nie miałam na sobie stroju kąpielowego. Byłam ubrana podobnie do nieznanego chłopca: miałam brązowe kowbojki, czerwoną chustę pod szyją, luźną kraciastą koszulę, kamizelkę ze skóry i kowbojski kapelusz. Nie wiedziałam, co się stało. Starałam się zapanować nad krzykiem, bo powiem szczerze, byłam przerażona tym, co widzę, ale postanowi-

łam się uspokoić.

– Cześć. Czy my się znamy? – powiedziałam z uśmiechem.

– Nie żartuj sobie! Przecież znamy się od kołyski! – odpowiedział nieznan mi z imienia chłopak. Pomyślałam sobie: „Dziwne. Nie zapomniałabym przecież kogoś takiego.”

– Chodź, musimy zagonić Azora i Ciapka do budy – krzyknął.

Nie wiedziałam, o co mu chodzi, ale pobiegłam za nim. W pewnym momencie się przewróciłam.

– Aua! – zawylałam z bólu

– Julka! – zawołał. Podbiegł do mnie i pomógł mi wstać.

– Wszystko dobrze? – zapytał. – Dlaczego nie zawołałaś? Cemu nic nie mówisz? Tobie przecież buzia nigdy się nie zamyka.

– Muszę ci powiedzieć coś bardzo ważnego: nie znam cię i nie wiem, gdzie jestem

– Ty chyba mocno uderzyłaś się w głowę! – powiedział i wziął mnie pod rękę. – Zabiorę cię do cioci.

– Ja nie uderzyłam się w głowę... Kim ty jesteś? Jaka ciocia?? Ale mi dziewczyny zrobiły kawał! Kąpałam się w jeziorze, poszłam odebrać telefon i zjawiłeś się ty. Jak masz na imię?

– Mateusz.

– Masz ładne imię – powiedziałam. – Kto cię przysłał? Karolina, Majka, Olka czy Kaśka? Jak zrobiliście, że jezioro i mury zniknęły?

– Naprawdę nie wiem, o czym ty mówisz, Julka. Zaprowadzę cię do mojej mamy.

– Cemu do twojej, a nie mojej?

– Chyba pójdziemy do lekarza. Może ty straciłaś pamięć?

Naprawdę bolała mnie głowa od upadku. Po tej rozmowie musiałam zemdleć, bo nic nie pamiętam. Koło łóżka, w którym się obudziłam, stał Mateusz i jakaś pani. Patrzyli na mnie z uśmiechem.

– Nareszcie się obudziłaś. Myśleliśmy, że już nie wstaniesz – powiedział Mateusz. – Zostawię was na chwilę same. Muszę iść do taty.

– Mateusz mówił mi, że straciłaś pamięć – powiedziała „ciocia”. – To prawda? – zapytała mnie grzecznie i z uśmiechem.

– Ja nie kłamałam! – krzyknęłam. – Naprawdę nie znam ani pani, ani Mateusza, ani nie wiem, gdzie jestem!

– Co ty powiedziałaś? – zdziwiła się pani. – Powiem ci coś w tajem-

nicy – szepnęła. – Ja też, jak tu trafiłam, byłam w twoim wieku i nie wiedziałam, gdzie jestem.

– Naprawdę?! – byłam bardzo zdziwiona.

– Kąpałam się w jeziorze. Nikogo nie było, tylko ja i ratownik obok. Nagle mnie zawołał, bo poszłam za daleko. Powiedział, że mam się nie oddalać. Odwróciłam się w stronę jeziora, a ono zniknęło. Chciałam zapytać ratownika, co się stało, ale go już nie było. Wtedy zobaczyłam chłopca, który nie wiem skąd mnie znał i który jest teraz moim mężem. Mateusz to mój syn. Bardzo cię polubił i nawet mu się podobasz! – powiedziała.

– Naprawdę?! To świetnie, bo mnie on też... – wyrwało mi się, a jego mama się uśmiechnęła.

Już nieważne. Nie chciałam tego powiedzieć i myślę, że on tego nie usłyszał.

– Mniejsza z tym – dodałam szybko i zmieniłam temat. – Spotkało mnie prawie to samo! Tylko że w moim przypadku zadzwonił telefon. Spotkałam chłopca, czyli Mateusza, jezioro zniknęło. Cieszyłam się, ale niedługo.

– To niesamowite, ale... To znaczy, że nie wróciłaś do domu?

Bardzo się przestraszyłam:

– Ja też nie wrócę do domu?

– Najprawdopodobniej tak, ale kiedy się tu pojawiłam, też tu istniałam. To tak, jakby przenieść się do równoległej rzeczywistości. – powiedziała smutnym głosem – Szukałam wyjścia przez miesiąc lub dwa i nic. Bardzo mi przykro.

– Musi być wyjście!!! Ja chcę wrócić do domu! – mówiłam przez łzy. – Może chociaż tu mam jakichś rodziców? Mam ich tu, prawda? Nie usłyszałam odpowiedzi przez kilka chwil. Tego już dla mnie było za dużo: nie wiem, gdzie jestem, a na dodatek nie wrócę?

– Mam tu jakichś rodziców? – ponowiłam pytanie

– Niestety, nie masz. Twoi rodzice zginęli w wypadku. Wracaliście znad morza i tylko ty przeżyłaś.

– Słucham? – byłam naprawdę zdziwiona. – To w takim razie gdzie mieszkam?

– Odkąd skończyłaś trzy latka z Mateuszem na górze. – powiedziała.

– Nie ma żadnego sposobu, aby wrócić? – zapytałam cichutko. – Na-

prawdę ani jednego?

– Jest co prawda jeden sposób, ale prawie niewykonalny.

– Powiedz, co to za sposób! Jakaś wyprawa? Zagadka? Dam radę! – mówiłam szybko, z wielkim entuzjazmem i ekscytacją.

– Ja ci pomogę! – oświadczył Mateusz, widocznie podsłuchujący całą rozmowę. – Mogę iść z tobą? – dodał po chwili

– Tak, możesz. – odparłam. – Od kiedy nas podsłuchujesz?

– Prawie od początku, to znaczy od momentu, kiedy mama zaczęła opowiadać o swojej przygodzie – dodał czerwieniąc się.

– To znaczy, że słyszałeś? – załamalam się, że on już wie, że mi się podoba.

Również się zarumieniłam. Jego mama na szczęście przerwała długą i niezręczną ciszę. Powiedziała cichym, ale stanowczym tonem:

– Możemy już skończyć ten temat i wrócić do istotniejszych rzeczy? Powrót Julki do domu jest chyba ważniejszy, niż kto się komu podoba, prawda?

To, co powiedziała, zdziwiło mnie, ale miała rację.

– Wiem, że jedynym sposobem, aby się stąd wydostać, jest znalezienie najcenniejszego skarbu oraz „Kamienia Szczęścia” w ciągu dwóch dni od podjęcia wyzwania. Niestety, nie wiem, gdzie można znaleźć ten kamień. Z tym musicie sobie poradzić sami.

– Najcenniejszym skarbem w bajkach i filmach jest zazwyczaj miłość albo przyjaźń. Inne cenne rzeczy ukryte są najczęściej w ciemnych grotach lub jaskiniach – powiedziałam. – Może tu także chodzi o coś podobnego? – mówiłam dalej troszkę nieśmiało.

„Ciocia” wyszła z pokoju na dłuższą chwilę. Znów zapadła głucha, niezręczna cisza. Mateusz siadł obok mnie, a moje serce zaczęło bić mocno i myślałam, że zaraz wyskoczy mi z piersi. Popatrzył się na mnie, ja na niego i stało się coś, co wydawało się czymś najpiękniejszym w moim życiu. Pocałował mnie lekko w policzek. Chwilę tę, cichą, lecz przepełnioną wielkim uczuciem, przerwał błysk pioruna. Zerwaliśmy się na równe nogi i wyjrzelśmy przez okno. Na niebie chmury zaczęły wirować i tworzyć jakieś kształty. Zamknęliśmy okno, a kiedy się odwróciliśmy, naszym oczom ukazał się mężczyzna w długich, niebieskich szatach i zaczął mówić:

– „Pierwszy skarb znaleźliście, koleżanko, kolego.

Od pięknej miłości nie ma nic cenniejszego.

– „»Kamienia Szczęścia« szukajcie między wierszami. Bądźcie lojalni, mili, a na pewno wygramy”.

Skończył mówić i wyparował. Nie wiedzieliśmy, o czym mówił.

– Moja babcia – zaczęłam po chwili – mówiła coś podobnego: „Jeśli będziecie dobrzy i mili dla ludzi, to na pewno oni się wam odwdzięczą”. Może o to chodzi? – zapytałam.

– Na pewno. Wtedy miałaś rację, to teraz też musisz ją mieć – powiedział Mati. – Jakie miejsce twoja babcia lubiła najbardziej? – zapytał.

– Kochała chodzić w góry – odparłam szybko. – Nie wiem jednak ... Nie zdążyłam dokończyć, ponieważ znaleźliśmy się w ciemnym, zimnym, strasznym miejscu.

– Gdzie my jesteśmy? – zapytałam. – Mati, gdzie jesteś?! – bardzo się wystraszyłam.

Nie wiedziałam, co robić. Byłam zmarznięta, przestraszona i to tego byłam całkiem sama. Krzyczałam: „Mati!”, ale odpowiadało mi tylko głuche echo. Drzewa zdawały śmiać się ze mnie. Zaczęłam uciekać. Wszystko zaczęło wirować. Las zmienił się w wielką płataninę kół i kształtów. Nagle zauważyłam, że robi się ciemniej. Jedyne, co było teraz słuchać, to cichutkie łkanie. Byłam sama, smutna i myślałam, że już tak zostanę do końca świata. Nagle poczułam coś na ramieniu. Bardzo się ucieszyłam myślą, że to Mateusz przyszedł po mnie, ale się zawiodłam. To była tylko wiewiórka. Za każdym razem, kiedy usłyszałam szelest odwracałam się z myślą o nim. W końcu straciłam nadzieję. Całkiem zrezygnowana usłyszałam: „Julka!”. Jak dzika poderwałam się z miejsca i zaczęłam przedzierać się przez krzaki i zarośla. W pewnym momencie wpadłam na Mateusza. Przytuliłam się do niego bardzo mocno i zaczęłam płakać ze szczęścia. Kolejną w moim życiu piękną chwilę coś przerwało. Spadła na nas kartka z pieczęcią. Odruchowo spojrzeliśmy do góry, lecz nie było tam niczego, co by się ruszało. Wzruszyliśmy tylko ramionami i zabraliśmy się do czytania listu. Napisane było tak :

„To udowodniło,

że między wami miłość jest.

Jeżeli wydostać się stąd chcesz,
radzę ci biec.”

Nie wiedzieliśmy do końca, co to znaczy, po chwili jednak zobaczyliśmy wielki błysk w oddali. Według instrukcji zaczęliśmy biec. Usłyszeliśmy niski głos nie wiadomo skąd:

„Błysk ten to portal. Musicie zdążyć, żebyście mogli się przenieść”. Zaczęliśmy biec jeszcze szybciej. Byliśmy już prawie na miejscu, gdy zauważyliśmy, że portal znika! Biegliśmy co sił w nogach, ale bez powodzenia. Niestety, nie zdążyliśmy. Zatrzymaliśmy się, a ja przytuliłam się do Mateusza i zaczęłam płakać. Przenieśliśmy się z powrotem do pokoju, w którym kilkanaście godzin wcześniej się obudziłam. Tam czekał na nas człowiek, który objawił nam się podczas burzy.

„Za lat dziesięć portal znów się otworzy. Nie udało ci się, ale za kilka lat na pewno sprostasz temu zadaniu” – po tych słowach wyparował, a ja znów zaczęłam płakać.

Minęło sześć lat, a my nadal nie powiedzieliśmy o tym nikomu. „Ciocia” myśli, że sama chciałam tu zostać. Dalej tęsknię za mamą i tatą oraz jeziorem. Bardzo lubiłam tam pływać i spacerować, jednak nie chcę wracać, bo teraz tu jest moje miejsce. Jedyną pamiątką po tym dniu jest zdjęcie, które zrobiliśmy razem z Mateuszem – zdjęcie łąki, na której pasą się krowy. Niedługo zacznie się budowa zbiornika na wodę dla tutejszych zakładów. Znowu będę mogła tu pływać i zobaczyć krajobraz, który zapamiętałam. A krowy przeniesiemy na inną łąkę.

Karolina Gawlik

Stara Bielawa wygląda tak pięknie: wszędzie jest zieleń i zwierzęta, nigdzie nie ma szkodliwych chemikaliów. Stefan – pasterz czyszczący krowę, pilnuje reszty stada ze swoją siostrą Emilią.

Widać, że mieszkańcy dbają o Bielawę.

Teraz dalej jest zieleń, ale w mniejszych ilościach. Gdzieś tam pojawiają się budynki mieszkalne i sklepy, ale największą uwagę przyciąga jezioro. Jezioro, które postanowiono odbudować i sprzedać. Jezioro, które cieszyło starszych i młodszych. Jezioro, które mieściło w sobie zwierzęta wodne, takie jak ryby, podobno żył tam żółw błotnisty, któremu odebrano mieszkanie. Jezioro, które skrywało tak wiele tajemnic!

Bielawa, oczywiście, jest nadal piękna, ale dawniej była piękniejsza. Ludzie dbali o faunę i florę, nie tak jak dziś młodzież, która śmieci, choć za sto metrów ma kosz na śmieci. Ludzie powinni pomagać zwierzętom i dbać o to, co jeszcze zostało naturalnego. Powinni także być ekologiczni: segregować śmieci lub używać mniej tworzyw sztucznych niszczących środowisko.

U podnóża Wielkiej Sowy

U podnóża Wielkiej Sowy mieszkał z żoną i córką rolnik Paweł. Miał on pole i dziesięć krów.

Pewnego dnia, jak co dzień, poszedł zaprowadzić bydło na pastwisko. Gdy wieczorem postanowił je zabrać z łąki, zauważył, że jednej brakuje. Zmartwił się tym, ponieważ uznał, że zniknięcie krowy może mu zaszkodzić. Kiedy na drugi dzień córka Pawła – Magda wieczorem przyszła przyprowadzić krowy do obory, zauważyła brak kolejnej. Pilnowali zwierząt, jednak one znikwały. Gdy rodzinie zostały tylko dwie, Paweł zaczął poszukiwania. Nigdy im niczego nie brakowało, ale teraz groził im brak mleka i pożywienia.

Pewnego razu rolnik zauważył ślady racic. Poszedł za nimi. Doprowadziły go do małej chaty w lesie. Obok w zagrodzie stały wszystkie zaginione krowy. Zapukał do drzwi. Otworzył mu mężczyzna w łachmanach. Paweł zapytał, dlaczego jego zwierzęta są tutaj. Wkrótce wszystko się wyjaśniło: biedak musiał jakoś wyżywić swojego syna, Kacpra, i żonę. Paweł zabrał zwierzęta, lecz obiecał pomoc, był on bowiem dobrym i uczynnym człowiekiem.

Pomagali sobie przez długie lata i żadnej rodzinie niczego nie brakowało. Kiedy Magda i Kacper dorośli, okazało się, że nie są sobie obojętni. Rodzice wyprawili im huczne wesele. Wszyscy żyli długo i szczęśliwie.

Łąka

– Zawsze tylko te krowy i krowy – myślał Henryk, kiedy kolejny raz wysłano go na łąkę Dierigów.

– Dlaczego nie mogę sprzedawać gazet, tak jak inne chłopaki? Oni to mają dobrze! Na ulicy ciągle się coś dzieje. A to węgiel rozsypie się dostawcy, a to złodziej ukradnie worek mąki i można się pośmiać, gdy gruby posterunkowy próbuje go dogonić. A już najlepiej było wczoraj, gdy zderzyły się dwa automobile – mówił do siebie coraz bardziej zły. Zły, bo całą, całutką relację z wczorajszego zdarzenia przedstawił mu nie kto inny, jak jego zaprzysięgły wróg Józek.

– Dwa nowiutkie automobile! Dixi i Ford A Coupe! – krzyczał, aż niosło się po ulicy, gdy Henio wracał z krowami. – Żałuj, że nie widziałeś! Pędziły na siebie tak szybko, że Adolcowi zwało czapkę. A później trach! Blacha cała pogięta.

– Jechały tak szybko, a jednak zauważyłeś, jakie to automobile? – zgryźliwie odezwał się Henryk.

– Bo później stały cały czas przede mną! I widziałem policmajstra Webera! Szybko porozganiał ludzi. A jedna pani w automobile się popłakała! – gadał jak nakręcony Józef.

Ale gadał też obrazowo, bo Henio miał przed oczyma wiśniową karoserię fordów i czerwien dixie. I widział blask słońca odbijający się w szprychach kół, kwiaty na kapeluszu pani Dierigowej oraz złośliwy wyraz twarzy karczmarza.

– Ech, szkoda, że mnie tam nie było – pomyślał Henryk, zaczynając odpinać łańcuchy krowom – Ale... wróg czy nie wróg, trochę szkoda Józka, że gdy się tak zapatrzył na ten automobilowy spektakl, to nie zauważył, jak stracił wszystkie gazety. Oj, dostał on swoje od ojca, dostał...

– Chyba leżenie na pachnącej łące i patrzeć w chmury nie jest takie złe – uśmiechnął się, po raz pierwszy zadowolony z tego, kim jest i gdzie przebywa.

Łąka czy zbiornik „Sudety”?

Zbiornik wodny „Sudety” malowniczo położony u stóp Gór Sowich od kilkunastu lat jest największą atrakcją Bielawy. Tu odbywają się imprezy, uroczystości, spotkania, występy artystyczne nie tylko dla bielawian, lecz i dla gości z różnych stron kraju, a nawet z zagranicy.

Tymczasem, gdy sięgniemy do historii miasta, przeglądamy fotografie z ubiegłego stulecia, ze zdziwieniem rozpoznajemy to miejsce. Prawie sto lat temu za zakładem „Christian Dierig” rozciągały się zielone łąki. Gdzieniedzie wśród bujnej trawy widzimy pojedyncze drzewa, które dawały cień, schronienie dla pasących się krów.

Niektóre zwierzęta, mimo opieki pastucha, czasem próbowały oddalić się od stada. Pilnujący nie spuszczał ich z oczu, a szczególnie obserwował Krasulę. Ta zbliżyła się do Mućki i szepnęła jej do ucha;

- Nie masz czasami ochoty na wycieczkę w góry?
- Nie chce mi się wdrapywać na szczyty – odburknęła zapytana.
- To może masz ochotę zwiedzić miasto? Nigdy tam nie byliśmy.
- Wspaniały pomysł!

Mężczyzna podszedł do Łaciatej, by obejrzyć jej raciczkę, ponieważ zauważył, że trochę kuleje. Obie, korzystając z nieuwagi człowieka, wymknęły się poza wyznaczony teren.

Zadowolone z siebie ruszyły środkiem ulicy Nowobielawskiej w dół. Po drodze zatrzymały się na strumieniu, którego zimna woda dodała im energii. Dalej, stukając raciczkami, maszerowały po „kocich łbach” dzisiejszej ulicy Waryńskiego. Przechodnie ze zdziwieniem spoglądali na wędrujące zwierzęta. Pokazywali je palcami, ale nie zatrzymywali „turystek”. Krowy od czasu do czasu ryczącym „muuu! muuu!” zwracały na siebie uwagę mieszkańców.

Jednak bez przeszkód po około godzinie dotarły na rynek. Zaciekała je fontanna na środku placu, więc stanęły, spoglądając na kamienny pomnik sowy. Tymczasem zrobiło się zbiegowisko, ale Mućka i Krasula nic sobie z tego nie robiły. Położyły się koło fontanny

i odpoczywały, jednak trwało to niedługo, bo zaalarmowany właściciel wysłał po nie dwóch pracowników zakładu. Ci szybko schwytali „uciekiniarki” i doprowadzili je do stada.

Tak, jak na zdjęciu widać, zwierzęta już w komplecie pod baczynym okiem pastucha skubią soczystą trawę. Wieczorem na pewno wszystkie krowy dadzą pełnowartościowe i ekologiczne mleko.

Powrót do dzieciństwa

Czasami nie zdajemy sobie sprawy, jak bardzo jakieś miejsce może się zmienić w przeciągu kilkudziesięciu lat. Myślimy sobie: to niemożliwe, żeby z kotliny powstała góra, z góry – kotlina, a z łąki – jezioro. A jednak czasami można się bardzo pomylić. Za przykład podam wam miasto Bielawę, a dokładniej tereny u podnóża Gór Sowich.

W pierwszej połowie XX wieku dzieci z biednych rodzin nie chodziły do szkoły. Zamiast tego pomagały swoim rodzicom w domu i gospodarstwie.

Tak też było z ośmioletnią dziewczynką o imieniu Marysia. Była bardzo mądra i inteligentna, ale jej rodziców nie stać było na jej edukację. Dziewczynka codziennie rano wstawała bardzo wcześnie i szła na łąkę paść krowy. Najczęściej robiła to na łące Dierigów. Bardzo lubiła to miejsce. Zawsze siadała sobie pod wielką jabłonią i liczyła spadające jabłka.

Przez lata tak wyglądał jej początek dnia, aż pewnego poranka rozeszła się po Bielawie wiadomość o rozpoczęciu wojny. Dziewczynka była przerażona tym faktem i koniecznością zmiany miejsca zamieszkania. Jako emigrantka w wieku jedenastu lat wyjechała ze swoją rodziną do Francji. W tym czasie na tej łące, na której zawsze panowała harmonia i błogi spokój, na tle którego dało się słyszeć delikatny szum rzeczki; na tej łące, na której, nie obawiając się niczego, pasły się krowy, wylało się tyle krwi i potu, że nie sposób było zliczyć poległych i rannych żołnierzy.

Pewnego dnia pod łąką Dierigów Hitler nakazał wybudować tajną bazę wojskową, z której można byłoby obserwować przebieg walki i opracować nową strategię bitwy. Po zakończeniu wojny Niemcy, nie chcąc, aby ktoś odkrył ich tajną bazę wojskową, postanowili to miejsce wysadzić w powietrze. Wypełnili je łaskami dynamitu i po wyprowadzeniu wszystkich z podziemi, wysadzili kryjówkę. Pozostał jedynie krater.

Po dwudziestu latach dorosła już Marysia chciała odwiedzić rodzinne strony. Wybrała się więc ze swoim mężem i dwójką dzieci do Polski, do Bielawy. Po długiej podróży dojechali do celu. Marysia, chcąc pokazać swoim pociechom miejsce, gdzie zawsze siedziała, pasąc krowy, udała się tam z nimi. Aż oczy przetrzała ze zdumienia! Była bardzo zdziwiona, ponieważ nie wiedziała, że na miejscu łąki powstało takie duże i piękne jezioro. Dopiero po przeprowadzce do Bielawy dowiedziała się, co tak naprawdę tam się wydarzyło.

Wszyscy bielawianie i ludzie spoza miasta przychodzili tu, aby się schłodzić i wypocząć w upalne letnie dni, a w zimie poślizgać się na lodzie. Do dzisiaj organizowane są tutaj imprezy i koncerty dla mieszkańców Bielawy i okolicznych miejscowości, gdzie wszyscy bawią się doskonale.

Niesamowita historia

Na zielonym pastwisku u podnóża gór pasło się stado krów. Nagle wszystkie się zebrały w gromadę i żując swoją ulubioną, zieloną trawę, słuchały z zaciekawieniem najstarszej z nich wszystkich. Krowa ta nazywała się Mućka i wiele w swoim życiu przeszła. Opowiedziała reszcie swoją niesamowitą historię.

„Kiedyś dawno temu mieszkałam u bogatej rodziny. Mieli oni wielkie ziemie i byli bardzo bogaci. Nie byli jednak skąpcami. Troszczyli się o mnie i miło mnie traktowali. Trawa, którą jadłam, była zawsze taka świeża, zielona, pyszna. Na pewno nigdy nie jadłyście równie dobrej. Córeczka mojego pana, Rozalka, bardzo mnie kochała. Ja odwzajemniałam tę miłość. To ona dała mi na imię Mućka. Często udawała, że jest księżniczką, a ja byłam jej doradcą. Po skończonej zabawie głaskała mnie po głowie i piła moje mleko. Bardzo to lubiałam. W tamtym domu czułam się jak królowa. Niestety stała się tragedia. Rodzina zbankrutowała. Wywieziono mnie i wszystkie moje przyjaciółki do Indii. Tam to dopiero było życie! Mogłam chodzić ulicami razem z ludźmi. Mogłam robić wszystko, co chciałam, i żaden człowiek nie mógł mi zrobić krzywdy. Pewnego wieczoru zebrałyśmy się na pastwisku, na którym odbył się konkurs tańca krów. W życiu nie widziałam żeby krowy się tak żwawo ruszały. Potem była dyskoteka i może nie uwierzycie, ale tańczyłam i właśnie wtedy poznałam mojego wspaniałego męża. Pod koniec pobytu w Indiach zauważył mnie jakiś fotograf. Musiałam mu się spodobać, bo zrobił mi zdjęcia z najbardziej znaną wtedy modelką. Później kupił mnie jakiś mężczyzna, który wywiózł mnie do kraju o nieznanym mi nazwie. Tam zaczął się nade mną znęcać, bił mnie i ciągle tylko doił. Dawał strasznie mało do jedzenia, a jeśli już coś dostałam, to uschniętą trawę. Kiedy uczył się strzelać, zranił mnie w nogę. Jaki to był straszny ból! Na szczęście rana nie była duża i uszłam z życiem. Gdy już byłam na

skraju wyczerpania, sprawą zajęła się policja i uratowali mnie z tego koszmaru. W taki sposób znalazłam się tu i poznałam was.”

Wszystkim krowom bardzo się podobała ta historia. Długo jeszcze debatowały na ten temat, żując trawę.

Pewnego, słonecznego ranka spojrzałam przez okno i zobaczyłam stado krów. Pasły się na dużej, zielonej łące. Szybko zjadłam śniadanie, ubrałam się i wyszłam przed dom. Nagle, zupełnie niespodziewanie, zauważyłam mojego kolegę – Kacpra. Powiedział mi, że krowy pasą się tu od północy. Zapytałam go, czy mają one zamiar tu zostać na zawsze. Odpowiedział mi, że nie wie. Kacper wymyślił, że jedną z nich nazwiemy Agnieszka.

Gdy wybiła godzina dwunasta, mama zawołała mnie na obiad. Wróciłam na łąkę najszybciej jak potrafiłam, ale żadnej z nich już nie było – oprócz Agnieszki. Stałam przy niej, aż do ciemnego wieczoru. Bardzo się martwiłam, że ona zostanie sama, na całą noc na tej zielonej, pachnącej skoszoną trawą łące.

Nie mogłam jej samej zostawić, ale pomyślałam sobie, że przecież mam oborę i na tę noc Agnieszka może się tam przespać, pod warunkiem, że tata i mama się zgodzą. Na szczęście powiedzieli „tak”! Pobiegłam szybko do Kacpra i powiedziałam mu, że możemy razem pójść po naszą krówkę. Wprowadziliśmy ją do obory. Mieliśmy nadzieję, że poczuje się w niej jak w domu.

Wieczorem szybko poszłam do swojego pokoju, ponieważ musiałam mieć dużo siły na następny dzień. Bardzo się denerwowałam, bo nie wiedziałam, jak czuje się nasza nowa krówka, Agnieszka. Wpadłam na genialny plan i cichaczem uciekłam z domu do obory. Położyłam się na sianie i poszłam spać tuż obok mojej towarzyszki – Mučki! Obudziło mnie głośne buczenie. Wstałam powoli i zobaczyłam małe cielątka. Wtedy domyśliłam się, że nasza Agnieszka jest mamusią. Poszłam szybko do Kacperka i opowiedziałam mu o wszystkim. Nie chciał mi uwierzyć, więc zaprowadziłam go do naszego milusińskiego stada. Zostawiłam Kacpra i pobiegłam do domu po rodziców. Ubrali się i przybiegli najszybciej jak umieli. Tatuś zdziwił się, że przez jedną noc tyle może się zdarzyć.

Dobiegła godzina dziewiąta. Rodzice Kacpra byli zniecierpliwieni i zaniepokojeni jego nieobecnością w domu. Postanowili, że pójdą

do moich opiekunów na poranną kawę. Znali już nasze niesamowite pomysły, więc bez trudu domyślili się, gdzie można go odnaleźć. Mieliśmy bardzo dużo szczęścia, ponieważ tato Kacpra jest weterynarzem. Gdy cielaczki zostały zbadane, okazało się, że są to dwie dziewczynki i jeden chłopiec. Nadaliśmy im najpiękniejsze imiona. Jedna z dziewczynek nazywała się Łateczka, ponieważ była w niesymetryczne łatki. Druga dostała imię Ruda z powodu rudawej maści. Chłopca nazwaliśmy Czarnuś, bo był cały czarny. Codziennie rano, po południu i wieczorem chodziliśmy je karmić. Kacper wpadł na pomysł, żebyśmy zbudowali im większą oborę, ponieważ nasza była zbyt mała dla takiej okazałej gromadki.

Zaczęliśmy budowę. Przyszli nam z pomocą rodzice, dziadkowie i grono starych, lubiących nas sąsiadów. Powiedziałam im szczęśliwa, że dziesięć rąk to nie jedna! Praca cieszyła nas wszystkich, zwłaszcza, że jej efekty były powalające! Piękna obora została zbudowana w dwa miesiące. Maleństwa za ten czas troszeczkę podrosły. Ustaliliśmy z naszymi rodzicami, że to będą nasze krowy, ale pod jednym warunkiem: że to my będziemy zajmować się codziennym sprzątaniem w oborze.

Przyszedł następny dzień. Szybko zrobiłam sobie kanapkę, gorącą herbatę do termosu i założyłam plecak na plecy. Wzięłam widły do ręki i zaczęłam sprzątać oborę. Zauważyłam coś niepokojącego u Łatki. Podeszłam po cichu, a tam zobaczyłam chrapiącego Kacpra. Zaczęłam się głośno śmiać i obudził się, niestety. Zagoniłam go do pracy, ale on sprzątał jakby lunatykował. Podzieliłam się z nim moją kanapką i herbatą. Po ciężkiej pracy wyprowadziliśmy krowy na pastwisko.

Staliśmy z nimi aż trzy godziny. Dowiedzieliśmy się od mamy Kacpra, że mamy dziś ognisko. Wyszłam z pastwiska bardzo szybko, ponieważ Kacper uwielbia kiełbasę i może mi wszystko zjeść. Bawiliśmy się do zmroku, ale zabawa zabawą, a przecież trzeba iść po krowy! Zabraliśmy je do obory. Przez całą noc bawiliśmy się bez przerwy, puszczałyśmy lampiony i balony za nasze małe i duże krówki.

Szybko nadszedł drugi dzień. Razem z Kacprem wzięliśmy dwa konie, Falka i Malinę. Wyjechaliśmy w teren i w połowie drogi przypomniało mi się, że krowy zostały zamknięte w oborze. Wróciliśmy

się do domu, przypięliśmy konie i poszliśmy po krowy. Gdy weszłam do środka, poczułam nieprzyjemny zapach. Powiedziałam Kacpro-
wi, że będziemy mieli dużo sprzątanina. Od tej pory każdy nasz dzień
wyglądał podobnie, czasami nawet śmieszniej.

Po pięciu latach krowy podrosły i wszystko się zmieniło. A może
tylko my... i krowy! Z wiekiem, nauczyliśmy się odpowiedzialności,
miłości do ziemi i zwierząt.

Dziś już wiemy, jak wygląda ciężka praca i dlaczego rodzice mó-
wią o niej, że uszlachetnia każdego człowieka! Czy w związku z tym
można powiedzieć, że szlachetnym może zostać zwyczajny, mały pa-
stuch krów? Chyba tak.

Aleksandra Kapka

Wirtualny świat

Był to zwyczajny dzień. Przyszłam ze szkoły, zjadłam obiad i coś
mnie tknęło: postanowiłam, wziąć stary album ze zdjęciami i go
obejrzeć. Zauważyłam starą fotografię z lat 30. XX w. Przedstawiała
krowy na łące Dierigów. Zaciekała mnie, ponieważ babcia nigdy
nie mówiła o takim miejscu. Z reguły była wygadana osobą i często
opowiadała o latach swojej młodości. I nagle coś się stało – nie po-
trafię tego opisać, ale poczułam się tak, jakby moja dusza wstąpiła
w inne ciało. To było magiczne uczucie. Zamknęłam oczy, policzy-
łam do trzech i znalazłam się dokładnie w miejscu z tej fotografii.
Początkowo przestraszyłam się: przecież przed sekundą siedziałam
wygodnie na sofie przykryta kocem, przeglądając album, a teraz
znajduję się na łące. Nie wiedziałam, co się ze mną dzieje. Mówiłam
do siebie: to tylko sen, zaraz tata przyjdzie z pracy, obudzi mnie, a ja
wrócę do swojej rzeczywistości.

Byłam zciekawiona jak Bielawa wygląda, więc postanowiłam
przejsć się po mieście. Na ulicach tętniło życie. Ludzie szli do pracy.
Postanowiłam wtopić się w tłum i zobaczyć, jak kiedyś kobiety pra-
cowały. Okazało się, że to nie była najprostsze i najprzyjemniejsze
zajęcie. Postanowiłam więc po cichu ulotnić się ze swojego stano-
wiska. I znów poczułam się jakoś dziwnie. Po chwili znalazłam się
na pastwisku. Przechadzałam się po polu, podziwiając życie paste-
rza. Jego czas wydawał się płynąć tak powoli! Widać było że ta praca
daje mu wiele szczęścia. Bardzo mnie ten widok zadziwił, a jedno-
cześnie ucieszył. W moich czasach większość ludzi pracuje bardziej
z przymusu, dlatego byłam mile zaskoczona. Po chwili mój wzrok
przykuło ogniste niebo i piękne pomarańczowe słońce zachodzące
za górami. Wtedy przypomniał mi się wieczorny widok, gdy wraz
z kolegą, siedzieliśmy na wałach zbiornika. Byłam już pewna, że to
jest miejsce, w którym w przyszłości powstanie jezioro.

Chciałam zobaczyć, jak wygląda pozostała część Bielawy, więc

udałam się w stronę domu. Nie zdążyłam jeszcze do niego dojść, gdy zaczepił mnie młody mężczyzna. Zainteresował się moim wyglądem (a trzeba podkreślić, że mój strój odbiegał od tutejszej mody). Jego uwagę szczególnie przykuły spodnie, których w tamtych czasach kobiety nie nosiły. Patrzył się na mnie z olbrzymim zdziwieniem na twarzy, a jednocześnie chciał wysłuchać historii do końca. Opowiedziałam mu o tym, jak w przyszłości będzie wyglądać Bielawa: w miejscu pastwiska powstanie piękny duży obiekt wodny „Sudety”, na terenie którego odbywać się będą różnego rodzaju imprezy kulturalne. W tym momencie jego reakcja była jednoznaczna. Nie wiedział, o co chodzi. Wy tłumaczyłam mu, że są to tańce i koncerty odbywające się na świeżym powietrzu, w miejscu, gdzie ludzie spędzają wolny czas. Młodzieniec odparł, że również chciałby przeżyć taką przygodę, jednak w tamtych czasach nie było to możliwe. Był bardzo zaciekawiony, więc zaczął się dopytywać, jakie obiekty powstaną jeszcze w przyszłości. Odparłam, że powstanie rekreacyjny basen, park z fontanną, odrestaurowana zostanie wieża widokowa na szczycie Góry Parkowej oraz obiekt sportowy „Bielawianka”, gdzie młodzież będzie mogła doskonalić swoje umiejętności w różnych dziedzinach sportu. Podkreśliłam, że Bielawa stanie się miejscem, gdzie ludzie z przyjemnością będą spędzać wolny czas. Wysłuchał mnie z ogromnym zainteresowaniem, lecz najbardziej zaciekawił się koncertami. Opowiedziałam mu min. o „Dniach Bielawy”, „Sudeckim Lecie”, „Sudety Sound”, „Reagge Dub Festiwal”, czyli „Regałowisko” – impreza, na której ludzie bawią się przy dobrej muzyce. Dokładnie nie wiedział, o co chodzi, dlatego chciałam mu przybliżyć moje klimaty, więc wyciągnęłam swój telefon. Był w szoku, bo nie rozumiał, jak z tak małego pudełka mogą wydobywać się dźwięki. Zaczęłam się śmiać. Zapewniłam go, że elektronika pójdzie tak bardzo w górę, że ludzie pisząc listy, nie będą używali papierowej kartki, tylko będą mogli elektronicznie komunikować się na odległość.

Gdy słońce całkowicie zaszło za góry, moje ciało zaczęło powoli zanikać. Zamknęłam oczy i obudziłam się na sofie. Pewnego dnia, gdy wychodziłam z mieszkania babci, zauważyłam na klatce schodowej mężczyznę podobnego do tego z mojego snu. Gdy mijaliśmy się, szepnął mi do ucha: „A jednak miałaś rację...”

Marta Krocak

Sen o wspomnieniach

Wyostrome nagle zmysły dały mi znać, że znajduję się w miejscu, które do tej pory nie było mi jeszcze znane. Miękką trawą niczym jedwabna tkanina muskała delikatnie opuszki moich palców. Unoszący się zapach nie przypominał mi żadnego rodzaju perfum: czułam po prostu niewyobrażalną czystość i choć do tej pory nie potrafię opisać tego zapachu, to wiem, że był on wyjątkowy. Nie słyszałam nic. Nienaturalna pustka wokoło sprawiała, że pierwszy raz czułam się wolna od otaczającego mnie brutalnego świata, który wykańczał mnie psychicznie, z dnia na dzień coraz bardziej. Leżąc w nieznanym miejscu, nie byłam w stanie zebrać się na odwagę, by otworzyć oczy. Nie chciałam ryzykować, że to, co zobaczę, zrazi mnie do tego miejsca, mimo że inne zmysły utwierdzały mnie w przekonaniu, że otacza mnie niezwykły krajobraz. Moja nieokiełznana wyobraźnia tworzyła zarys, szkic miejsca, w którym się znajdowałam. Czułam się bezpiecznie, widząc to piękno oczami wyobraźni. Czułam się zbyt dobrze i bałam się, że najmniejszy ruch moich zaciśniętych powiek sprawi, że wszystko wokoło zniknie, że nagle obudzę się w małym skrzypiącym łóżku, z towarzyszącym mi odgłosem płaczu mojej młodszej siostry. Szybko odgoniłam złe myśli. Doszłam do wniosku, że nawet jeżeli to zwykły sen, to chcę się nim jak najdłużej rozkoszować. Nagle, choć to bardzo dziwne, przypomniała mi się książka, którą mama czytała mi przed snem, kiedy jeszcze nie dosięgałam brodą do kuchennego stołu. Mała, czerwona książeczka opowiadała o chłopcu, który dzięki podjętemu ryzyku zyskał w życiu bardzo dużo. Utożsamiałam się z nim i zagłuszając strach, otworzyłam z niezwykłym spokojem oczy. Krajobraz, który zobaczyłam, był idealny i tak naturalny! Wielka ciemna tafla jeziora odbijała gwiazdziste niebo, które sprawiało wrażenie, jakby w pewnym miejscu łączyło się z wodą w jedną całość. Choć wszędzie było ciemno, nietrudno było dostrzec przepiękne wielobarwne góry, które z pewnością skrywały

wiele tajemnic. Nie mogłam uwierzyć, że od początku nie dostrzegłam małej wyspy na środku jeziora połączonej z brzegiem poprzez molo. Czułam, że znam to miejsce: widziałam je niezwykle zamazane oczami małej dziewczynki. Nie byłam pewna, czy to miejsce przypomina mi jakiś opis z książki, czy scenę z filmu. Nie chciałam tracić czasu na grzebanie we wspomnieniach. Chciałam tylko leżeć wśród traw i patrzeć na gwiazdzistą taflę jeziora. To wszystko sprawiało mi niezwykle wielką radość i czułam się jak małe dziecko chłapiące dokładnie każdy szczegół.

– Tośka, wstawaj! – zawołała – do mnie mama zza drzwi mojego pokoju.

– Skończyło się – pomyślałam.

Magiczne jezioro zniknęło jak bańka mydlana, wróciła rzeczywistość. Schodząc po schodach na śniadanie, starałam się utrwalić każdy, nawet najdrobniejszy szczegół tajemniczego miejsca, w którym jeszcze przed chwilą się znajdowałam.

– Dzwoniła ciocia Lusia. Chciała, abyście ją odwiedziły w ten weekend – poinformowała mnie i siostrę mama, która wcale nie zamierzała zapytać mnie o zdanie. Nie widziała cioci dobrych parę lat. Pamiętam jak lubiłam wpatrywać się w jej stare zdjęcie przedstawiające naturalny krajobraz z łąką i krowami. Ciocia Lusia opowiadała mi chyba nawet o tej fotografii, niestety, czas wymazał jakiegokolwiek wspomnienia na ten temat. Mama, widząc moją nie do końca zadowoloną minę, powiedziała:

– Zobaczysz. Jak byłaś mała, to bardzo podobało ci się w Bielawie. Może odwiedzisz to swoje magiczne miejsce, o którym nigdy nie chciałaś opowiadać...

Każdą cząsteczkę mojego ciała nagle wypełniła radość. Już wiedziałam, skąd znam to niezwykle miejsce ze snu...

Olimpia Łosyk

Za górami, za lasami, w Sowiej Wsi mieszkali górale Sowiki. Żyli w pięknych drewnianych chatkach, które zbudowali własnymi rękami. Prowadzili proste, spokojne wiejskie życie. Utrzymywali się głównie z uprawy ziemi, hodowli bydła, rybołówstwa. Codziennie chodzili do lasu, by polować, zbierać grzyby i owoce leśne. Mężczyźni budowali ule, z których pozyskiwali cenny miód. Kobiety zbierały w lesie lecznicze zioła. Czas wolny górale spędzali na jeździe konnej po Górach Sowich. Często organizowali wyścigi konne na Wielką Sowę, gdzie żyła stara wiedźma o imieniu Jaga. Mężczyzna, który dotarł jako pierwszy na sam szczyt, w nagrodę otrzymywał przywilej wybrania sobie mięsa zwierzęcia upolowanego z lasu. Góralki Sowianki spędzały czas wolny na robótkach ręcznych. Haftowały, szydełkowały, wyszywały, plotły wianki, szyły piękne kolorowe ludowe stroje dla siebie, swoich mężów i dzieci. W trakcie tych czynności śpiewały piękne pieśni. Wiezorami wszyscy górale spotykali się przy ognisku, by omówić najważniejsze wydarzenie z całego dnia i rozładować emocje przy muzyce, śpiewach i tańcach. Sowiki byli świetnymi grajkami. Ręcznie wykonywali swoje instrumenty: gitary, flety, bębny, harmonijki, gwizdki.

Pewnego dnia, gdy jeździec o imieniu Wolibór dotarł na szczyt Wielkiej Sowy, Jaga przepowiedziała mu, że za pięć dni przyjdą ogromne ulewę i zaleją dolinę. Ludzie na początku nie wierzyli w przepowiednię Jugi, więc kazali ją zabić za sześć dni. Lecz gdy nadszedł dzień piąty, przysłała ogromna ulewa i górale uciekli na górę Jugi (Wielką Sowę) i tam zamieszkali. Przepraszali wiedźmę za to, jak ją ocenili, a ona im wybaczyła. Zgodziła się też, żeby zamieszkali w jej lesie.

Po kilku dniach górale zobaczyli, że ich piękna kiedyś dolina zamieniła się w jezioro. Od tej pory ludzie przyjeżdżają tu w Góry Sowie, żeby pokąpać się w pięknym jeziorze o nazwie „Sudety”.

Łąka Dierigów

Każde miasto ma swoje historie. Te najnowsze – skrzętnie zapisywane na nośnikach danych, gromadzone w dorocznych kronikach i przechowywane w bibliotekach, aby i potomni mogli dowiedzieć się, jak żyli ich ojcowie i dziadkowie, oraz te z dawnych wieków – wielokrotnie przekazywane z pokolenia na pokolenie, często obrosłe już własną legendą: bo to ktoś dodał coś swojego, ktoś zapomniał o pewnych faktach, a jeszcze ktoś świadomie przemilczał niewygodne dla siebie wydarzenia.

Podobnie jest z historiami dotyczącymi Bielawy na Dolnym Śląsku – miasta sąsiadującego z pobliskim Dzierżoniowem i odległymi o około 3 kilometry Pieszcami. Granica pomiędzy nimi praktycznie już nie istnieje. Miasta dolnośląskie mają jeszcze jedną trudność w ustalaniu swojej historii: wiele dokumentów zaginęło podczas ostatniej wojny albo zostało zniszczonych tuż po niej, wszystkiego, co niemieckie, należało się bowiem jak najprędzej ostatecznie pozbyć. Inną sprawą jest fakt, że ocalałe dokumenty zostały sporządzone w języku niemieckim, a nie każdy przecież włada nim w dostateczny sposób, by mógł je studiować. Zarówno Bielawa, jak i Pieszyce leżą u podnóża Gór Sowich, kryjących wiele niezmiernie ciekawych zagadek z odległej przeszłości. Mowa tu o podziemnych fabrykach z okresu ostatniej wojny, o dawnych kopalniach, które do dzisiaj możemy oglądać i podziwiać (oczywiście same wejścia, bez zapuszczania się w głąb ich korytarzy, bo to jest bardzo niebezpieczne), jak i o zagadkach i zdarzeniach dotyczących czasów o wiele dawniejszych, czyli okresu średniowiecza. Zdarzenie, o którym opowiem, miało miejsce w pierwszej połowie piętnastego wieku, który w historii Polski zaznaczył się przede wszystkim wielką bitwą z Zakonem Krzyżackim. Jednym z bohaterów tej bitwy był Czech, Jan Žižka, przyszedł husyta, w pewnym sensie mający wpływ na zdarzenia, których świadkiem była późniejsza Łąka Dierigów.

Po tym przydługim nieco wstępie zacznę raz jeszcze swoje opo-

wiadanie od początku. Pewnej pięknej, słonecznej niedzieli w sierpniu 2013 roku wybrałem się z Babcią (jak nazywam swoją żonę) do lasu. Poszliśmy do Górnych Pieszc, a następnie szliśmy ulicą Lipową i dalej drogą wzdłuż lasu, po której w 1844 roku maszerowali w stronę Bielawy zbuntowani tkacze. Mniej więcej w połowie drogi, kiedy wzniesiliśmy się wysoko ponad Dolinę Dzierżoniowską, rozciągnął się przed nami wspaniały widok: panorama Pieszc, Dzierżoniowa i Bielawy leżącej tuż pod naszymi stopami. Widok zachęcający do tego, by zejść niżej i zagłębić się w pola i łąki leżące obok tego pięknego miasta. Zeszliśmy więc z Babcią z drogi i klucząc pomiędzy zagonami, doszliśmy w pobliże południowej strony zbiornika, który powstał na dawnych Łąkach Dierigów. Nie byłoby w tym nic szczególnego, gdybym w pewnej chwili nie stanął na jakimś ostrym przedmiocie. Dosyć mnie zabolalo i postanowiłem sprawdzić, co to jest. Rozgarnąłem trawę i zobaczyłem wystający z ziemi kawałek starego żelaza. Był tak stary, że jego czubek złamał się pod moją cienką, gumową podeszwą. To mnie mocno zaintrygowało. Z wielkim trudem, odgarniając ziemię znalezionym w pobliżu ostrym kamieniem, wyciągnąłem ni mniej ni więcej tylko prastary topór, a w zasadzie to, co z niego pozostało. Autentyczny topór z rodzaju takich, które były używane w bitwie pod Grunwaldem, a później stanowiły ulubioną broń husytów, inaczej taborytów, dzielnie broniących swoich umocnionych taborów zza ciężkich wozów ustawionych w okrąg i spiętych łańcuchami. To znalezisko na Łąkach Dierigów wprowadziło mnie nieomal w stan euforii. Kocham historię, kocham dawną broń, więc w wielkim uniesieniu, trzymając w ręku niekształtny kawałek żelaza oblepiony grudami brunatnej ziemi, wykrzyczałem brzydkie słowo, ogólnie w Polsce znane, które niejednemu mężczyźnie, a co raz częściej również kobiecie służy za przerywnik w czasie wypowiedziania jakichś kwestii. To dla lepszego zrozumienia słuchających. Babcia, jako że mojej fascynacji białą bronią nie podziela, chociaż ją toleruje, spojrzała na mnie z dezaprobatą.

– Jak ty się zachowujesz? Zobacz, tam siedzi jakiś pan i patrzy na nas. Wstydź się.

Trochę mnie to speszyło. Spojrzałem w kierunku, gdzie pokazywała. Pod niedużym drzewem, na rozłożonym plecaku siedział wy-

tworny starszy pan w stroju, który mógłbym określić jako sportowy, gdyby nie miał jakiegoś dziwnego, nieco archaicznego kroju. Nie ujmował to w niczym jego elegancji i, jak się niebawem okazało, również manier. Uśmiechał się szeroko i gestem ręki zapraszał do siebie, z czego oczywiście skorzystaliśmy. Na miejscu okazało się, że przesiadł się on na plecak, dla nas bowiem zostawił coś w rodzaju dywanika, na którym mogliśmy spocząć, opuszczając nogi do biegnącej wzdłuż naszego siedziska dosyć głębokiej bruzdy. Było bardzo wygodnie. Po paru zdawkowych zdaniach na temat pogody, uroku Gór Sowich i miejsca, w którym się znajdowaliśmy, uznał za stosowne przedstawić się.

Miał na imię Jan i jakieś dziwnie brzmiące nazwisko, coś w rodzaju: „Rziszka”. Dokładnie nie zrozumiałem, a dopytywać się nie wypadało. Następnie, ku mojemu wielkiemu zdziwieniu, oznajmił, że wie, co tak skrzętnie chowam w swoim plecaku, gdzie zwykle noszę ciepłe kurtki na wypadek zmiany pogody. Jak nic, tylko nas podglądał, ale dziwne, że niczego nie zauważyłem. Pewnie domyślał się, o czym myślałem, bo uśmiechnął się tylko i zaczął swoją opowieść.

W roku 1527 jeden z jego krewnych przyłączył się do husytów. W owym czasie, ten potężny ruch religijny, a następnie polityczny, nie był już tak spójny jak na początku swego powstania; wyłonił się odłam bardziej radykalny oraz ugodowy. Niemniej jednak wojska husyckie stanowiły wciąż jeszcze potężną siłę i bez wielkich strat obroniły się przed skierowaną przeciwko nim zorganizowaną przez cesarza Zygmunta Luksemburskiego IV krucjatą.

Krzyżowcy po klęsce schronili się w większych miastach, a część z ich udało się w drogę powrotną do domu, kierując się na północ, w stronę Gór Sowich. Za nimi pognali husyci, dobijając po drodze maruderów. Na Przedgórzu Sudeckim obie te armie rozbiły się na małe grupki, które na własną rękę przedzierały się przez góry, przy czym krzyżowcy, nie ciągnący ze sobą ciężkich wozów, zdawali się być już bezpieczni. Nie do końca tak było. Po stronie husytów istniała przewaga doskonałej znajomości terenu. Wszystkie te grupy wymieszały się ze sobą i zdarzało się, że na stronę śląską husyci docierali przed krzyżowcami. Pewnego sierpniowego popołudnia grupa husytów dotarła do Bielawy i rozłożyła się warownym obozem na

łąkach obok miasta, w miejscu, gdzie dzisiaj jest zbiornik wodny. Spięli swe wozy łańcuchami, czego na postojach nigdy nie zaniedbywali, i naściągawszy z pobliskiego lasu drzewa, odpoczywali po ciężkim dniu, piekąc na wielkim ogniu zabitego byczka, którego zrabowali jednemu z mieszkańców Bielawy, mocno go przy okazji obijając. Chłop i tak miał szczęście, że uszedł z życiem, husyci bowiem, będąc na obcym terenie, w swoim zachowaniu niewiele różnili się od zwykłych rzezimieszków. Takie to były czasy. Tego samego dnia, po drugiej stronie Bielawy, w Jodłowniku, przekroczył góry silny oddział krzyżowców. Obie zwalczające się grupy nic o sobie nie wiedziały, ale pokrzywdzony chłop zadbał już o to, by tak nie zostało. Pożyczył konia od swojego kuma i galopem pognął do Jodłownika z informacją o obozie husytów. Krzyżowcy poczekali do zapadnięcia zmroku i kiedy wysłani zwiadowcy upewnili się, że husyci już posnęli, ruszyli do Bielawy, aby po cichu podejść pod obóz i zaatakować go, zanim obrońcy zdążą się obudzić i stanąć do walki. Podjęte środki na niewiele się zdały – straż husytów czuwała i w porę wszczęły alarm. Podchodzących pod obóz krzyżowców przywitały wystrzelone z kusz bełty, które uczyniły spory wyłom w szeregach napastników. Obrońcy stali już na swoich stanowiskach, czyli za wozami, na wozach, a nawet pod nimi – w zależności od tego, kto jaką bronią dysponował, nie mieli bowiem jednolitego uzbrojenia, jak to miało miejsce w przypadku wojsk zaciężnych. Każdy walczył tym, co miał i dodać należy, że walczył skutecznie. Czułość husytów nie pomogła, przewaga po stronie krzyżowców była bowiem tak duża, że nawet warowny obóz na niewiele się przydał. Ponosząc straty od lecących ciągle w ich kierunku bełtów, dobiegli jednak do wozów i rozpoczęła się zacięta walka wręcz. Husyci bronili się z ogromną determinacją. Walka przeciągała się i żadna ze stron nie mogła osiągnąć przewagi. Przełomowy okazał się moment, kiedy atakującym udało się rozpiąć łańcuchy przy jednym z wozów i wytoczyć go z kręgu pozostałych. Otworzyło to drogę jeździe, która wtargnęła do wnętrza obozu. Naprzeciw stanęło kilku husytów, którzy zdołali dosiąść swoich koni. Cóż jednak znaczyła ta garstka obrońców naprzeciw kilkunastu napastników! Wkrótce zostali wycięci i taki sam los spotkał pozostałych obrońców, łącznie z przebywającymi w obo-

zie kobietami. Łąka spłynęła krwią zarówno pokonanych, jak i zwycięzców, którzy drogo okupili swój sukces. Tylko jednemu husycie udało się uciec. Był to przodek naszego rozmówcy. Będąc wyjątkowo silnym mężczyzną, dosiadł dzielnego konia i zdołał przebić się przez nieprzyjaciół, kładąc trupem dwóch atakujących go krzyżowców, i unosząc głowę, ruszył galopem w stronę gór, które zapewniały ochronę. Na skraju łąki natknął się na kolejną grupkę krzyżowców, którzy słysząc odgłosy walki, zdążyli na pole bitwy. Widząc uciekającego husytę, jeden z nich – widocznie przywódca – wstrzymał skinieniem ręki pozostałych i z mieczem w dłoni ruszył przeciwko niemu. Przodek naszego rozmówcy dzierżył w ręku topór bojowy, którym najchętniej posługiwał się podczas walki. Obydwaj przeciwnicy byli niezwykle silni i zdesperowani. Wymienili jedynie dwa ciosy, podczas gdy ich konie dwa razy mijały się ze sobą. Za pierwszym razem miecz ugodził w toporzysko, łamiąc je jak zapalnik, przy czym topór wbił się obuchem w podmokłą ziemię tak, że jedynie kawałek jego żeleźca wystawał na zewnątrz. Pozbawiony swojej podstawowej broni husyta wyszarpnął z pochwy długi kord, który miał zawieszony u pasa. Cóż jednak znaczyła ta broń przeciwko znacznie dłuższemu, wykonanemu z doskonałej stali mieczowi przeciwnika? Potężnym ciosem została mu ona wytrącona z dłoni i spoczęła obok topora, a pozbawiony możliwości obrony wojownik spał ostrogami swojego konia i niegoniony już przez nikogo schronił się w ciemnościach lasu. Był już bezpieczny i mógł wracać do domu.

Na tym kończy się historia potyczki, którą oddział husytów przypłacił życiem. Ziemia w miejscu, gdzie to się wydarzyło, tak nasiąkła krwią, że przez najbliższe lata krowy mieszkańców Bielawy nie chciały się tam paść, mimo że trawa była wyjątkowo zielona i soczysta. Stawały, wciągały nozdrzami powietrze i ignorując krzyki oraz razy zadawane im przez pastucha, cofały się. Po paru latach pamięć o bitwie zatarła się i wszystko wróciło do normy.

Opowiadający przerwał swoją opowieść. Siedzieliśmy z Babcią zasłuchani, wyobrażając sobie te straszne sceny, które rozegrały się na Łące Dierigów wiele lat temu.

–Widzę, że interesujesz się takimi rzeczami.

Siedzący obok nas pan skinął głową na topór, który ciągle jeszcze

leżał na wierzchu obok mnie.

– Bardzo – odparłem.

– To idź i poszukaj jeszcze obok miejsca, gdzie go znalazłeś. Może trafisz na ślad kordu.

Nie trzeba mi było tego powtarzać. Zerwałem się z miejsca, z trudem opanowując zawrót głowy, który od lat towarzyszy mi w takich wypadkach, i pobiegłem. Tak się jakoś stało, że byłem niemal pewien, gdzie on się znajduje. Przeczucie (a może coś innego) nie zawiodło. Ledwie kilka razy wbiłem w ziemię kamień, którym odkopałem topór, gdy zazgrzytał on o coś twardego. Kamień? Nie, wiadać brązową rdzę. Opanowała mnie ogromna radość, już druga tego dnia. Ostrożnie, by nie uszkodzić, wyciągnąłem wielowiekowy kord i spojrzałem w stronę, gdzie siedziała Babcia wraz z panem Janem. Ku mojemu zdziwieniu nie zobaczyłem go. Babcia siedziała sama. Podszedłem do niej.

– Gdzie jest ten pan?

– Nie wiem. Zaraz, jak poszedłeś tam szukać tego żelaza, to on pożegnał się i odszedł.

– Zabrał ten pled?– spytałem, widząc, że siedzi na trawie.

– Jaki pled?

– No przecież siedzieliśmy na nim, a on na plecaku – odparłem.

– Rzeczywiście, ale nie pamiętam, by coś zabierał, i by prosił, abym wstała.

Teraz dopiero przyjrzałem się uważnie naszemu miejscu pod drzewem. Były tam dwa wgłębienia w trawie wygniecione przez Babci i moje siedzenia. Trzeciego nie było. Może z tymi znaleziskami to też jakaś iluzja? – pomyślałem z niechęcią.

Ale to była rzeczywistość. Przedmioty te, poddane starannej konserwacji, stanowią ozdobę mojego domu. A historia z bitwą? No cóż, jak już pisałem, wiele jest niezbadanych historii Gór Sowich i samej Bielawy. To tylko jedna z nich, która przypadkiem ujrziała światło dzienne. Kto chce niech wierzy, kto nie chce – trudno, nie będę nikogo przekonywał. Ja jestem głęboko przekonany, że miała ona miejsce – podobnie jak wiele innych na terenie naszych pięknych gór i podgórza.

Dawno, dawno temu, kiedy czasy były takie, że dzieci też pracowały, żyło sobie dwóch chłopców. Starszy nazywał się Bartek, a młodszy Grzesiek. Byli to dwaj najlepsi przyjaciele.

Pewnego dnia, gdy poszli doić krowy, Grzesiek znalazł jakąś małą rzecz. Na początku myślał, że to zabawka. Były na tym dwa guziki i Grzesiek nacisnął jeden. Wtedy on i Bartek przenieśli się w czasie. Tu, gdzie paśli krowy, znajdowało się jezioro. Na początku chłopcy myśleli, że się zgubili, ale drzewa, które tam stały, wyglądały znajomo. Później domyślili się, iż przez to, że Grzesiek nacisnął guzik w zabawce, przenieśli się do innego wymiaru. Okazało się, że zgubili to małe urządzenie. Po kilku godzinach szukania znaleźli je i nacisnęli guzik, dzięki któremu wrócili na łąkę.

Po powrocie zaczęli sobie wszystko przypominać i powiedzieli sobie, że już nigdy nie będą się bawić małymi urządzeniami, które znajdują.

Na pastwisku

Kilkadziesiąt lat temu, na miejscu dzisiejszego bielawskiego jeziora była łąka, na której pasły się krowy, pilnowane przez dwóch braci: Staszka i Tadka.

Niedalek łąki płynął strumyk, w którym chłopcy często się kąpali i bawili.

Któregoś dnia zbudowali tam tamę z gałęzi, liści, błota i kamieni. Cały dzień piętrzyła się woda. Chłopcy się tam pluśkali.

Wieczorem, odprowadzając krowy do obory, nie zburzyli tamy, tylko ją zostawili. W nocy była straszna ulewa. Pod naporem wody tama przerwała się i zalała całą łąkę. Już nie można tam było paść krów. Właściciel łąki postanowił więc, że zrobi tam jezioro, a krowy będą się pasły wyżej i bliżej gór. Przy jeziorze wybudował fabrykę, którą później nazwano „Bielbaw”.

Wszyscy byli zadowoleni, bo ludzie mieli pracę, a dzieci mogły kąpać się w jeziorze.

Do tej pory jest to miejsce wypoczynku mieszkańców Bielawy i okolic.

Sen

Pamiętam ten dzień. Lato było w rozkwicie. Słońce prażyło niemiłosiernie, wyganiając „tekstylnych” z ich betonowych bloków i pędząc niczym stado zwierząt nad wodę, gdzie czekała ich orzeźwiająca kąpiel. Zapełniły się brzegi jezior, rzek i nadmorskie plaże. Ja miałem możliwość popluskania się w bielawskim zalewie, leżącym niedaleko mojego rodzinnego miasteczka. Wybudowany prawie pół wieku temu jako zbiornik przemysłowy dla jednej z fabryk włókienniczych i pełniący od początku rolę dzikiego kąpieliska dla tutejszych mieszkańców, z roku na rok stawał się coraz bardziej podobny do cywilizowanego miejsca letniego wypoczynku. Przy jednym z brzegów pojawiła się wypożyczalnia sprzętu do pływania, na tafli zbiornika wypłynęły łódki, kajaki i małe żaglówki, a wokół – jak grzyby po deszczu – zaczęły wyrastać kioski spożywcze, bary, pizzerie, smażalnie ryb i podobne obiekty zaplecza rekreacyjno-gastronomicznego.

Niewiele się zastanawiając, wsiadłem na rower i po kwadransie jazdy polną drogą znalazłem się nad bielawską wielką wodą. Szybko schłodziłem rozgrzane na słońcu ciało, wchodząc po pas do wody zalewu, jednak dłuższą kąpiel odłożyłem na później. Czułem się lekko zmęczony, senny, więc postanowiłem chwilę odpocząć w cieniu nadbrzeżnych drzew. Położyłem się na brzuchu, głową ku wodzie. Przede mną rozpościerał się malowniczy widok na Wzgórza Bielawskie. Wyłączyłem świadomość, upajając się letnią ciszą, przetykaną gdzieniegdzie, jak złotym haftem, śpiewem ptaka w oddali i ledwo słyszalnym bzyczeniem owadów. Jeszcze pamiętam, jak głowa opadała mi niżej i niżej, a krajobraz powoli zanosił się mgiełką...

Poczułem grunt pod stopami, nie wiedząc kiedy, wstałem i szedłem przed siebie. Początkowo brodziłem po kolana w wodzie, ale im szedłem dalej, tym woda stawała się płytsza. Wnet w ogóle znikła, a ja stanąłem na trawie. Zobaczyłem mojego starszego brata, który

uśmiechając się, podchodził do mnie. Wyciągnął rękę, aby chwycić moją, i pociągnął mnie lekko ku sobie. Byliśmy na rozległej łące. Przed nami w oddali majaczyły znane nam dobrze Wzgórza Bielawskie, a wokół pasło się duże stado krów. Nie zwracając na nas uwagi, zwierzęta skubały trawę i spacerowały swobodnie po rozległej łące-pastwisku. Przystanęliśmy koło jednej krasuli i czując niepowtarzalny nastrój chwili, ustawiliśmy się jak do pamiątkowego zdjęcia. Otaczała nas dobrze znana letnia cisza, przetykana bzyczeniem owadów i śpiewem ptaka w oddali.

– Zbyszku – zwróciłem się do brata – gdzie podziałą się woda?

Brat nic nie odpowiadał, ale minę miał zdziwioną, jakby nie rozumiał, o co go pytam.

– Gdzie jest nasz zalew? – dodałem – Przecież tutaj było duże kąpielisko.

Ale brat wciąż nie odpowiadał. Puścił moją dłoń i bez słowa zaczął się oddalać. A ja stałem wciąż na łące wśród pasących się krów. Nagle usłyszałem donośny dzwon kościoła.

A kiedy otworzyłem oczy, byłem już z powrotem nad moim kąpieliskiem.

Dębowy pamiętnik

To była już jesień w całej swej krasie. Jak to zawsze jesienią, moje reakcje życiowe były spowolnione.

Pewnego wieczoru, czytając w łóżku po raz setny z kolei moją ulubioną książkę, nie wiedzieć kiedy – usnąłem. Rankiem obudziły mnie słabe promyki słońca, leniwie przebijające się przez szpary w oknach, i odbijając się od lustra, padały na moje jeszcze śpiące oczy. Złożyłem dłonie w pięści i przetarłem je. Podeszedłem do okna i po odsłonięciu firanki ujrzałem prawdziwą jesień. Złote liście pod swoją powłoką kryły dachy, ulice, a nawet kałuże. Rozkoszowanie się tym widokiem przerwało wołanie dochodzące z kuchni:

– Antku, zapraszam na śniadanie!

Zgodnie z zaproszeniem zszedłem na dół, jednak w kuchni nie zastałem nikogo.

– Mamo, tato? – powiedziałem bez emocji.

Samotność nigdy mi nie przeszkadzała, więc zbytnio nie ubolewałem nad nieobecnością rodziców.

– Pewnie pojechali z Amelią na lekcję pianina – rzuciłem stwierdzenie do samego siebie. – Zresztą, nieważne – dodałem.

W zasadzie nie byłem głodny, więc bez kęsa kanapki usiadłem na fotelu w salonie. Po chwili postanowiłem wrócić do swojego pokoju, jednak „coś” tknęło mnie, aby wstąpić do zapomnianej biblioteczki na poddaszu. Biblioteczka ta zawsze robiła na mnie ogromne wrażenie, jednak nigdy nie odczuwałem potrzeby wejścia do niej. Gdy szukałem „czegoś” dla siebie, zaintrygowała mnie stara książka w dębowej oprawie, o tytule „Łąka Dierigów”. Po wyczyszczeniu imponującej warstwy kurzu, która na dobre zadomowiła się na niej, przystąpiłem do lektury.

„U stóp Gór Sowich, ze wszystkich łąk, najpiękniejszą jest łąka Dierigów” – przeczytałem półgłosem pierwsze zdanie akapitu otwierającego wstęp do pięknej historii. – „Niezliczona ilość traw,

rzeki przecinające się na owym terenie oraz zwierzyna, spokojna i łagodna, prowadzą tu szczęśliwy byt”.

Czytając te słowa, swoją postawę ze stojącej zmieniłem na siedzącą i zwijając się w kulkę niczym przestraszony jeż, kontynuowałem czytanie.

Kolejne części tej książki dotyczyły życia w obrębie tej łąki, ale również rozterek i emocji narratora, którego osoba z każdą kolejną literką coraz bardziej mnie ciekawiła.

Zawód miłosny, chęć odnalezienia wewnętrznego spełnienia, kolejna miłość i walka o nią, walka z przeciwnościami losu, śmierć przyjaciela – i to wszystko na tytułowej łące Dierigów.

Narrator zdawał mi się już całkowicie bliski. Dostrzegłem podobieństwo pomiędzy nim, a mną. Intrygowało mnie to.

– Kim on jest? Jak wygląda? Gdzie teraz mieszka? – pytałem samego siebie

Ludzie zamieszkujący ten piękny teren wiedli życie iście sielankowe. Kobiety gotowały, prały, szyły, mężczyźni zaś budowali chałupy, młócili zboże i paśli krowy. Po wykonaniu wszystkich swoich obowiązków, „mieszkańcy Dierigowa” – bo tak ich nazwałem – rozpalali ognisko, jedli, pili i tańczyli do białego rana jak w sielance. Dusza narratora również zalała się sielanką, gdy głównym tematem stało się przedstawianie niebiańskiego piękna, charakteru, gustu i smaku jego lubej – Anielci.

Po dłuższej chwili lektury, dotarłem do ostatniej części, jak już można było się domyślić – pamiętnika.

Ostatni akapit dotyczył hucznego ślubu narratora z ową Anielcią. Przewróciłem kartkę, lecz napotkałem złote od starości, niczym okrywające świat jesienne liście, puste stronic.

Na dole kartki, drobnym maczkiem napisany, widniał zapis: „Antoni Markowski, Langenbielau, 1923”.

– To zupełnie tak, jak ja! Jak ja! Ja! – wykrzyknąłem z całej siły, którą ukrywały moje płuca.

Wtedy przypomniałem sobie liczne opowieści mojej babci Heleny o jej ojcu, a moim pradziadku Antonim, który „prowadził życie w pięknym miejscu, najpiękniejszym miejscu na naszej planecie” – jak mówiła.

– Antoni, gdzie jesteś ?! – usłyszałem nagle.

Zbiegłem na dół i nic nie odpowiadając, sięgnąłem po „Atlas Polski”. W nim znalazłem położenie Gór Sowich, a po chwili miasto Bielawa – pamiętnikową Langebielau. Rodowe miasto mojego pradziadka było położone 120 km od miejscowości, w której mieszkam ja.

– Mamo, jadę do Bielawy! – oznajmiłem.

– Dokąd?! – odpowiedziała zdumiona mama.

– Do Bielawy, miasta mojego pradziadka Antoniego! – odpowiedziałem z impetem.

Cisza ze strony mojej mamy, mówiła sama za siebie.

Szybko się przebrałem, spakowałem do plecaka trochę prowiantu i biorąc pod pachę pamiętnik mojego pradziadka, pobiegłem na autobus.

Po niezbyt długiej podróży, dotarłem na miejsce. Pieszko doszedłem do tytułowej łąki Dierigów. Po pokonaniu dosyć dużych rozmiarów wału ujrzałem szerokie, błękitne jezioro, które pomimo jesiennej pogody nadal emanowało radością. W oddali ujrzałem wyspę połączoną z lądem długim, drewnianym moło, parę metrów obok piaszczystą plażę. Usiadłem na ławce, z kieszeni wyciągnąłem długopis i otworzyłem pamiętnik. Wtedy zrozumiałem, że puste kartki złocistego koloru mój pradziad zostawił właśnie po to, by je zapisać.

Długo tak siedziałem na terenie dzisiejszego zbiornika „Sudety”. Czułem, jakby moja ręka sama uzupełniała dębową księgę. Tak samo jak mój pradziadek opisał swoje rozterki i emocje, które mi towarzyszą każdego dnia.

Swoją część zakończyłem słowami: „W miejscu łąki Dierigów, na której mój pradziad Antoni Markowski wraz z ukochaną żoną, Anielą, i innymi mieszkańcami prowadził szczęśliwe życie, znajduje się dziś piękne, duże i błękitne jezioro zwane Zbiornikiem „Sudety”, które latami będzie służyło mieszkańcom Bielawy, jak przed laty łąka Dierigów mojemu przodkowi i jego bliskim. Antoni Markowski (prawnuk Antoniego Markowskiego), Bielawa, 2011r.”

Sandra Nikoniuk

Historia pewnej rodziny z Langebielau

Dawno temu, za czasów gdy na obszarze dzisiejszej Bielawy mieszkali jeszcze Niemcy, a miasto nosiło nazwę Langebielau, wydarzyła się dziwna historia. W jego górnej części, na wzgórzu, mieszkała pewna rodzina składająca się z rodziców i trójki dzieci: Emmy, Joachima i Fryderyka. Z gromadki tej najstarszy był jedenastoletni Joachim, następny był uroczy, jasnowłosy pięcioletek Fryderyk i najmłodsza, śliczna, dwuletnia Emma. Niestety, rodzina nie była w okolicy lubiana. Unikali ludzi i z nikim się nie zadawali, wszyscy mieli podkrążone oczy i dziwnie bladą cerę. Chłopcy codziennie o świcie szli bocznymi drogami, rzekomo prowadząc krowę na postronku. Co najdziwniejsze, żadnej krowy nikt nie widział. Słuchać było tylko odgłos racic i muczenie. Nic poza tym. Sytuacja codziennie się powtarzała. Często, gdy chłopcy wracali ze zwierzęciem do domu, a robili to zawsze bardzo późno, w ciemnościach nikogo nie było widać. Słuchać było tylko odgłos kopyt i wycie wiatru. Niektórzy opowiadali, że widzieli o północy na łące właśnie tych dwóch braci. Nikt nie mógł tego jednak udowodnić.

Gdy któregoś dnia pewien wieśniak wracał o zmroku przez pola do domu, usłyszał śmiech dzieci i dźwięk dzwonka, takiego, jaki noszą na szyi krowy. Niczego jednak nie dojrzał. Prerażony chłop czym prędzej uciekł do domu goniony złowieszczym śmiechem i wiatrem. O swojej przygodzie nie opowiedział nikomu.

Z czasem ludzie całkowicie przestali zadawać się z rodziną ze wzgórza, a posiadłość zaczęto uważać za nawiedzoną. Nikt nie zapuszczał się na teren w pobliżu tajemniczego domu i na polanę, na której po zapadnięciu zmroku pasły się krowy. Po pewnym czasie ludzie zauważyli, że posesja stoi pusta, a jej mieszkańcy ulotnili się jak kamfora. Dziwne odgłosy nie ustały jednak, tylko się nasiliły.

Wystraszeni mieszkańcy, bojąc się o bezpieczeństwo swoich dzie-

ci, udali się po poradę do starej babki Grety. Była to kobiecina, która wiele widziała, niejedno w życiu przeszła i była bardzo mądra. Nikt tak naprawdę nie wiedział, ile ma lat. Pytana o wiek, zawsze odpowiadała:

– Tyle, że nie jestem ani młoda, ani stara.

Gdy ludzie opowiedzieli babce Grecie historię o dziwnych zjawach, kobieta tylko pokiwała głową.

– Wiem, o co wam chodzi. Ta rodzina już nie żyje jakieś dziesięć lat. W posiadłości wybuchł pożar i wszyscy zginęli we śnie. Nawet ta mała kruszynka, Emma. Do dzisiaj nie wiadomo, co było przyczyną pożaru, ale przecież wystarczy tylko mała iskra... To była ogromna tragedia – spojrzenie babki Grety było jakby zamglone. Widać, że przeżywała wszystko od nowa. Przed jej oczami przesuwały się żywe obrazy z tamtego okresu. Na twarzy babki malował się smutek.

– Jak możemy pomóc odejść tym duchom do ich świata?

– Jak im pomóc?... Hmm... Sami im nie pomożecie, trzeba wezwać kapłana, który odmówi za te dusze modlitwę. To są zjawy, nieśmiertelne istoty. Pamiętajcie o tym, zanim zechcecie zrobić coś głupiego, przed czym was przestrzegam i co wam odradzam jako wasza dobra, stara przyjaciółka.

Mieszkańcy Langenbielau posłuchali rady mądrej Grety i sprowadzili kapłana, który odmówił modlitwę i poświęcił dom na wzgórzu. Nareszcie wszystko się uspokoiło i ludzie mogli odetchnąć z ulgą. Jednak tylko do pewnego letniego poranka...

Tego dnia było niezwykle słonecznie, pogodnie i ciepło. Na łące pasły się krowy, których sierść już z daleka się błyszczała, a rogi i racice wyglądały niezwykle zdrowo. Ten przepiękny widok natchnął miejscowego fotografa, który postanowił uwiecznić sielankowy obrazek. Gdy jednak wywołał zdjęcie, włosy na głowie mu zdębiały. Na fotografii, owszem, znajdowały się wszystkie krowy, ale oprócz nich pojawiła się jeszcze jedna, dodatkowa, oraz dwóch chłopców. Byli to Joachim i Fryderyk. Mężczyzna usłyszał jeszcze muczenie krowy, dźwięk dzwonka i śmiech dzieci. Fotografia wypadła mu z ręki. Jeszcze tego samego dnia wyjechał z miasta.

Jeśli chcecie wiedzieć, czy duchy w końcu odeszły do swojego świata, zapytajcie starej babki Grety. Ona na pewno wam powie...

Katarzyna Panek

Wehikuł czasu

– Hanka! Hanka! Chodź no tu, ino szybko! Krowy trzeba wydoić, bo zaraz jak piorun uderzy, to nam się wszyścusiennie rozproszą. Szybciej, nie ociągaj się tak!

Zdyszana biegłam co sił w nogach, aby rozgorączkowanemu ojcu przynieść na czas wiadro.

– I co się tak patrzysz jak cielę na malowane wrota? Wybierz sobie krówkę i do dzieła!

– Kiedy ja nie umiem – odpowiedziałam.

– Jak to nie umiesz? Matka ci pokazywała, więc już tutaj nie cuduj. Tylko aby delikatnie! Moje krówki są wrażliwe na każdy niewprawny ruch.

„Nie lubię wiejskiego życia, nie lubię wiejskiego życia” powtarzałam w myślach jak mantrę. Odór krów i mleko ciekące po całych rękach było katastrofą, której za wszelką cenę chciałam się ustrzec, jednak rzeczywistość mnie przerastała, z każdym dniem coraz bardziej. W tych wszystkich czynnościach nie widziałam najmniejszego sensu. I jeszcze te „święte krowy” ojca! Miałam tego wszystkiego serdecznie dosyć. Dałabym wiele, żeby to wszystko zniknęło raz na zawsze.

– Będzie wielka burza. Haneczko, śpiesz się!

Niebo nad naszymi głowami stopniowo zachmurzało się coraz bardziej. Wiatr gwałtownie przybrał na sile, a zwierzęta zaczęły niemiłosiernie głośno ryczeć. Z osłupienia wyrwał mnie zrozpaczony ojciec, biegający jak szalony w pogoni za swoimi „cudeńkami”.

– Mówiłem, że jak się będziesz tak ociągać, to dojdzie w końcu do tego! Niemądra z ciebie dziewucha! – rzucił między łapaniem krów a przywoływaniem ich do siebie, co miało marny skutek.

W jednej chwili naszym oczom ukazało się coś niebywałego: ogromny wir, który wsysał wszystko, co spotkał na swojej drodze.

Trąba powietrzna wciągnęła „święte krowy”. To był ogromny cios dla ojca, jednak nie mógł tego dłużej przeżywać, gdyż wir pochłonął również nas.

Po kilku sekundach poczułam małe kamyczki, wbijające się skutecznie w mój policzek. Nie mogłam się ruszyć. Podniosłam głowę i zobaczyłam nogi: bosc, w klapkach, sandałach.

– Drodzy państwo, może trzeba im pomóc? Widać, że są nieźle poturbowani – zaproponował gapiom ustawionych wokół mnie przysadzisty mężczyzna w skarpetach i sandałach.

– Halo, nic ci nie jest? A panu? – zaczęły padać pytania z różnych stron.

Zdezorientowana spróbowałam się podnieść, jednak mój wysiłek spełził na niczym. Widząc moje starania, pomógł mi wstać krępy mężczyzna. Zdenerwowana rozglądałam się za ojcem. Leżał nieopodal, tak samo poobijany jak ja.

– Jesteś cała? – zapytała kobieta w dwuczęściowym stroju kąpielowym w groszki.

– Mam taką nadzieję. Gorzej jest chyba z moim ojcem.

Wszyscy jak jeden mąż obrócili głowy w stronę leżącego taty.

– Nic mi nie jest, Haneczko! – powiedział.

– Oddaj tę piłkę! Nie widzisz, że jest moja? Chcesz guza?!

– Przestańcie się tak drzeć. Nie widzicie, że się opalam? Banda małolatów!

Słyszac krzyki mimowolnie spojrzalam w strone, z ktorej dochodily i dopiero teraz rzucilam okiem spoza gasczu stop na otoczenie. Wokół mnie roztaczał się niesamowity widok na jezioro lekko połyskujące w słońcu i piękne góry zachwycające swoją zielenią. Chwila! Czyżbym znała to miejsce? Góry pamiętam, bo z naszej łąki roztaczał się widok na nie, ale gdzie w takim razie sama łąka, a co najważniejsze, gdzie krowy? Ojciec się wścieknie.

– Dlaczego jesteście tak komicznie ubrani? Bał karnawałowy w lipcu, rozumiem? – z zamyślenia wyrwała mnie kobieta w groszkach.

– Nie, to nasze ubrania do pracy ... Lipiec ?! Przecież dopiero był kwiecień. Który mamy teraz rok? – zapytałam, coraz bardziej nie wierząc w to, co się dzieje.

– Jak to który? 2011, złotko – rzucił z przekąsem przyszczaty dryblas.

Jak to 2011? Wczoraj jeszcze był 1923, a już mamy XXI wiek? Coś tu jest nie tak i jedyną osobą, która mogłaby w tym momencie rozwiązać moje wątpliwości, był ojciec.

– Tato, słyszałeś? Od wczoraj minęło 88 lat!

– Jak to 88 lat? Nie, to niemożliwe. Znowu sobie coś ubzdurałaś!

– Sam zobacz ten krajobraz. Nie wygląda ci znajomo? Jest tylko jedna mała, mała różnica: nie ma łąki, a co za tym idzie ... nie ma ani jednej krowy.

Chwila zawahania tylko spotęgowała jego gniew. Zaczął przedierać się przez skupisko ludzi i stanął na brzegu wału. Rozglądał się we wszystkie strony. Patrzył na dzieci beztrosko kąpiące się w zbiorniku i ich rodziców czuwających nad bezpieczeństwem.

Ze środka tłumu wybiegł przysadzisty mężczyzna

– Twojemu tacie coś jest, chyba trzeba zadzwonić po pogotowie – powiedział zdyszany krótkim biegiem. Kropelki potu na jego czole iskrzyły się w blasku słońca.

– Nie, nic mu raczej nie będzie. To wyłącznie szok. Mam nadzieję, że dojdzie do siebie.

W momencie, kiedy już wszyscy powrócili do przerwanej przez nas wypoczynku, podeszłam do ojca.

– Tato, jak to teraz będzie? Co my zrobimy? Nie mamy nic oprócz tych przedpotopowych ubrań.

Podrapał się po głowie, otarł łzę z policzka i odparł:

– Jak to co? Mamy 2011 rok, moich krówek już dawno nie ma, gospodarstwo zniknęło, ale, Haneczko, nadal mamy siebie. Zaczniemy wszystko od nowa. Kto wie, może wykupimy to jezioro, pozbędziemy się wody i zamienimy na naszą ukochaną łąkę. Tak, to genialny pomysł! Będzie pięknie, Haneczko!

Zwiesiłam głowę modląc się, aby historia znów się nie powtórzyła.

Wspomnienia

Stałam na wałach. Sama. Samotna. W ciszy, późnym wieczorem. Wspominałam, patrzyłam, myślałam, marzyłam. Po prostu tam byłam... Kiedyś z innymi, dziś sama. Kiedyś z rodziną, dziś z myślami. Kiedyś z przyjaciółmi, dziś ze wspomnieniami. Coś jest, później tego nie ma. Czegoś nie ma, potem wraca. Znow tego nie ma i znow po-
wraca. Albo i nie. Tak wiele chwil spędzonych razem. Kiedyś mogły-
by trwać wieczność. Teraz wydawały się tylko krótką chwilką. Zbyt krótką...

Westchnęłam i zesłam na dół. Niedawno stałabym już po kolana w wodzie. W tej chwili ziemia była prawie sucha, w niektórych miej-
scach lekko błotnista. Rozejrzałam się. Na lewo kałuża, na prawo
trochę większa – taki mały staw. Tylko bez ryb. W ziemi mnóstwo
skarbów: kawałek łódki, śmieci, butelki, szkło, pogubione błyskotki,
monety... Przede mną wyspa, na którą można przejść suchą nogą.
I most prowadzący na nią. Z dziurą. Opustoszały. A czy o tej godzi-
nie nie powinno na nim stać kilka osób? Czy nie powinny wpatry-
wać się w spokojną toń wody, potem w niebo, na góry, okolice? Czy
zapamiętały ten obraz tak wystarczająco dobrze, że już ich nie ma?
Na pewno kilka osób siedzi przy fontannie. Jest bardzo ładna. Ale nie
zastąpi zbiornika. Kiedyś było inaczej. Pamiętam z opowieści babci.
To był płaski teren. Tak jakby teraz zrównać wały z ziemią. Babcia
mówiła, że była tu łąka (w sumie teraz też prawie jest, tylko taka
podmokła). I że rosły pieczarki! Pamiętam, jak pokazywała palcem
różne miejsca, gdy razem przychodziliśmy tu na spacer. Tego nie
było, to było inaczej. Tam stali Niemcy, a tam bawiły się ich dzieci.
– Wszędzie była łąka – widzę, jak zatacza ręką szeroki łuk.
– Tam slišmy z dziadkiem – pokazuje przed siebie. – Spacerowali-
śmy z moim mężem.

Co chwilę dorzuca nowe wspomnienie.
– Czasem nawet pasły się krowy. Nie było takich ekstra działek –

macha ręką w przeciwnym kierunku. – Czasem ktoś coś sobie posa-
dził i tyle. Kto by pomyślał, że tak będzie?

Zawsze twierdziła, że była to piękna okolica, pełna uroku. Nigdy
jednak nie powiedziała, że Jezioro nie pasuje do tego miejsca. Wręcz
przeciwnie. Często spacerowała po wałach, zabierała ze sobą swoje
dzieci. Nawet tylko po to, żeby po prostu posiedzieć. Napawać się wi-
dokiem gór, poczuć chłód wiejący od wody, zrelaksować się.... Cią-
gle to wspomina. Tę łąkę, te pola. Zawsze, gdy jesteśmy nad Jeziorem
powtarza: „ Tam były pola, łąki...”. To miejsce, mimo że zmienione,
wciąż wiele dla niej znaczy. Te pola, te łąki były świadkami chwil ra-
dości i smutku. To one wpisały się w świadomość wielu ludzi... (...)

A to wszystko zaczęło się od przemysłu. Sztuczny zbiornik wodny
OWW „Sudety”, zwyczajnie nazywany Jeziorem, powstał na użytek
bielawskich zakładów przemysłu bawełnianego. Na długo przed ich
upadkiem Jezioro stało się formą spędzania wolnego czasu, ośrod-
kiem kultury i miejscem rekreacji. Chociaż imprezy odbywające się
w tym miejscu można policzyć na palcach u jednej ręki, to wiele
osób uczestniczy w nich co roku. Bielawę mnóstwo osób odwiedza
w sierpniu, kiedy odbywa się najśłynniejszy w Polsce Reggae Dub
Festival. Mile zaskakuje to, jak dużą częścią tej imprezy jest zbiornik.
Chyba jest już wpisany w krajobraz Bielawy. Zasmuciło mnie tylko
to, jak wiele osób, które przybyły w tym roku na Reggae, wzięło ze
sobą wędki. Niektórzy przyjeżdżają kilka lat z rzędu. Jezioro zawsze
było, a tu nagle znikło. Co czuję? Smutek? Zdziwienie? Wielu z tych
ludzi było po prostu rozczarowanych taką sytuacją. Spotykam się
z kumplem. Pytam:

– I jak?

– Szok! – odpowiada krótko. – Wchodzę na wały, a tu mi wodę wyla-
li! Gorąco, super klimat, dobra muzyka i nie ma gdzie się schłodzić!

Perfekcyjny komentarz...

„Gdzie się widzimy? Na Jeziorze”, „Idziesz z nami? Gdzie? Na Je-
zioro”, „Jutro impreza. Gdzie? Na Jeziorze”...

Tysiące wypadów ze znajomymi sprowadzało się do Jeziora. Nie-
ważne kiedy powstało, zawsze było, jest?, i będzie?. Z wodą czy bez.
Dla sporej ilości bielawian Jezioro to jedyne miejsce spędzania wol-
nego czasu, urlopów, wakacji – nad takim naszym małym morzem.

Niby nic się nie dzieje, a tak wiele wspomnień się z nim wiąże. Niby nic się nie robi, a jednak tak miło spotkać się tam ze znajomymi lub samotnie pospacerować. Ludzie potrafią znaleźć przyjemność w samym siedzeniu, patrzeniu na naturę, na innych korzystających z jej uroków. Nawet kąpanie się, powiedzmy sobie szczerze, w kompletnie brudnej wodzie, sprawiało przyjemność. I sporty wodne się rozwijały. Nieraz obserwowałam, jak odważni uprawiali windsurfing – dobre warunki, wiatr i niezbyt głębokie jezioro. Idealnie...

Całkiem niedawno wybrałam się z przyjaciółką na spacer. Oczywiście skończyłyśmy na środku naszego Jeziora. Rozmawiałyśmy, wspominałyśmy, a ja po raz setny opowiedziałam jej tę historię, którą mi opowiadała babcia.

– I tu była łąka, w tym miejscu – potupałam, chcąc podkreślić sens moich słów.

– Historia lubi się powtarzać – burknęła i wyciągnęła nogę z błota.

Pamiętam, jak na którejś z imprez grali szanty. Było mnóstwo ludzi. Choć na co dzień słucham zupełnie innej muzyki, poszłam na nie z rodzicami i siostrą. Do dziś nie żałuję. Wspaniały klimat. No i miejsce. Nie wyobrażam sobie, by imprezy odbywały się w innym miejscu. Od wody odbijał się rytm i dźwięki instrumentów. Niepowtarzalne uczucie posłuchać czegoś takiego w takim miejscu...

Babcia nie mówi wiele. Kiedy pytam o Jezioro znów mówi o łące i o polach. Ale pod tą łąką coś jeszcze jest. Wiem, że jest, tylko nie wiem, co. Tysiące wspomnień z jej życia, z tamtych czasów. Miliony wyznań, przyrzeczeń, które leciały z wiatrem gdzieś nad polami. Kto wie? Może kiedyś opowie mi więcej...

Jezioro nazwałabym lokalnym Loch Ness. Z jednej strony pełne uroku, z drugiej nie wiadomo, co się kryje (a właściwie kryło) na dnie. Poza tym wszyscy wiedzą, że woda *pożyczyła sobie* całkiem sporo osób i już nie oddała. Studiując jego historię, można wymyślić mnóstwo ciekawych opowieści. O tym, jak woda znikła z dnia na dzień, łącząc dawne czasy z naszymi. Będąc gdzieś, możemy mówić, że mamy jezioro, na którym pasą się krowy, bo na dnie rośnie bujna trawa. Historia może być naprawdę interesująca!

(...) Wróciłam na wał. Przez chwilę bardzo chciałam zawrócić wskazówki w zegarku. I cofnąć się do wakacji. Do beztrudnych dni.

Trzy lata temu. Gdy z kuzynem czekaliśmy na autobus nie patrząc, kiedy przyjedzie. Gdy szwendaliśmy się po ulicach, nie wiedząc, o której wrócimy do domu. Gdy spędzaliśmy czas nad jeziorem. Usiadłam na wale. Poczułam ciepło bijące od betonowej płyty. Jak tamtego dnia, kiedy kuzyn siedział obok mnie. Po długim milczeniu założył słuchawki. Poruszał ustami bezgłośnie, rapując jakiś kawałek. Wrzucałam kamyczki do wody, tworząc spore kręgi. Słońce ogrzewało nam twarze.

– Mateusz ...

Szturchnęłam go, bo muzyka grała tak głośno, że mnie nie usłyszał. Wyłączył.

– Co?

– Cieszę się, że przyjechałeś.

– Niezmiernie?! – sprzedał mi ten swój łobuzerski uśmiech.

– Niezmiernie!

Zawsze był mi bardziej przyjacielem niż kimś z rodziny. Długo się nie widzieliśmy i wtedy naprawdę cieszyłam się, że mamy czas na takie wspólne nicnierobienie. Za każdym razem, gdy mówiłam, że się z czegoś cieszę, pytał czy niezmiernie. Wciąż to robi. Nidy nie zapominał. Nie pamiętam, ile tak siedzieliśmy. Wiem tylko, że w końcu wzięłam od niego słuchawkę i usłyszałam słowa „HuczuHucza”, które pamiętam do dziś: „(...) I milcz, bo nie zmienia się tu nic poza wszystkim (...)”.

W jednej chwili przed sobą widziałam łąkę, jezioro, podmokłą łąkę i nic. Nie wiem, co będzie dalej...

I znów te same wakacje. Chodzimy z Mateuszem po wale i widzimy człowieka siedzącego na schodkach. Coś rysuje. Po cichu stajemy za nim. Rysuje Jezioro. I góry – nasz piękny krajobraz. Znów czuję ten zachwyt realizmem dzieła i zdolnościami artysty. Patrzymy mu przez ramię bardzo długo. Aż w końcu powie, że zasłaniamy mu światło. Później pokaże nam stary rysunek. łąkę, babci łąkę. I opowie swoją historię: że wraca tu co parę lat i uwiecznia to, jak zmienia się okolica...

Ciekawe czy w tym roku też był? Widział, że nie ma wody? Co pomyślał? Że jest prawie jak dawniej? Lepiej? Gorzej? Może kiedyś go spotkam. Z pewnością go o to zapytam...

Nie wiem dokładnie, jak było za czasów mojej babci. W moich wspomnieniach Jezioro było od początku i zostać powinno. Są takie miejsca, których nie powinno się zmieniać. One nadają rytm lokalnemu życiu, tworzą historię, stają się częścią miasta, częścią nas samych. Jeśli Jeziora nie będzie, to tak jakby nie było kawałka naszej Bielawy. Była łąka, była woda, jest łąka otoczona wałami. A jak będzie kiedyś? Jak będzie jutro, za tydzień, za miesiąc? Za rok? Za dwa? Jak zapełnią się puste karty historii? ... Możemy tylko przypuszczać i zadawać sobie miliony pytań, na które wielu z nas być może nie doczeka się odpowiedzi...

Radosław Pohl

Historia pewnej fotografii

Interesując się historią, często oglądam różne stare fotografie. Stanowią one ważne źródło informacji. Pewnego dnia, gdy byłem u znajomych i rozmawiałem z nimi na temat dziejów Bielawy, pokazali mi czarno-białe zdjęcie wielkości pocztówki. Na zdjęciu bez problemów rozpoznałem teren obejmujący zachodnie obrzeża miasta, u północnego podnóża Gór Sowich. Znajoma – pani Maria opowiedziała mi historię tej fotografii.

Okazało się, że jej rodzice w latach dwudziestych XX w. przyjechali do Bielawy w poszukiwaniu pracy. Tereny były biedne, miasto rozciągało się na długości 9 km wzdłuż potoku (obecnie Bielawica). Znaczny wpływ na jego rozwój miało początkowo rzemiosło tkackie, a następnie przemysł włókienniczy. W wielu domach były warsztaty tkackie, na polach uprawiano len, który następnie przerabiano, wytwarzając materiały. Istniał już zakład „Christian Dierig”. W tym właśnie zakładzie zatrudniono ojca pani Marii. Rodzina mieszkała w wybudowanym przez zakład skromnym domku. Rodzinny dom mojej znajomej znajduje się właśnie na zachodnich obrzeżach Bielawy; z jego okien roztacza się piękny widok na Góry Sowie.

U podnóża tych gór w tym czasie znajdowała się rozległa łąka. Pani Maria często na niej bywała z rodzicami i rodzeństwem. Wiosną zbierała kwiaty i plotła z nich wianki, latem na kocu słuchała opowiadań rodziców, a jesienią podziwiała wielobarwne lasy porastające wzgórza Gór Sowich. Pamięta, że na łące tej od wiosny do późnej jesieni pasły się krowy z pobliskiego gospodarstwa, pilnowane przez syna gospodarza. Nieraz zdarzało się, że zbierały się na tej łące dzieci z pobliskich domów i grały w piłkę lub bawiły się w chowanego. Sygnałem do zakończenia zabawy był gwizd lokomotywy przejeżdżającego nieopodal pociągu kolei sowiogórskiej. Dzieci też pluskały się w przepływającym obok łąki potoku Brzęczek, który dostarczał wodę do zakładu „Christian Dierig”.

Pani Maria opowiedziała tę historię z rozrzwinięciem, oświadczając, że teren ten nasuwa jej wspaniałe wspomnienia z okresu szczęśliwego, choć ubogiego, dzieciństwa. Fotografia trafiła do rodziny dość przypadkowo. Dał ją syn właściciela krów widoczny na zdjęciu, a mały brzdąc stojący obok niego za pasącą się krową to najprawdopodobniej właśnie pani Maria. Sama nie pamięta faktu wykonania fotografii, nikt też jednoznacznie nie potwierdził ani też nie zaprzeczył, że to jest ona. Zdjęcie przechowywane jest w rodzinnym albumie, ponieważ przypomina pani Marii szczęśliwe dzieciństwo.

Znajoma, gdy dorosła wyjechała na wiele lat z Bielawy. Wielkie było zdziwienie, gdy w latach siedemdziesiątych XX wieku, powróciła do miasta i rodzinnego domu. Po łące Dieriga nie pozostało nic – był już na niej duży sztuczny zbiornik retencyjny „Sudety”, którego zadaniem miało być awaryjne zaopatrzenie w wodę istniejących zakładów przemysłu bawełnianego. Po upadku zakładów włókienniczych w Bielawie pod koniec XX wieku zbiornik pełnił rolę akwenu sportowo-rekreacyjnego. Na początku 2013 roku woda ze zbiornika została spuszczone. Toczy się spór między prywatnym właścicielem zbiornika, a władzami Bielawy o koszty jego utrzymania.

Być może powstanie na tym miejscu łąka – tak historia zatoczy koło, a fotografia „Łąka Dieriga” potwierdzi to wydarzenie.

Natalia Pompa

Marek - Moj przyjaciel

Dawno, dawno temu, kiedy nie było was jeszcze na świecie, a Bielawę porastały łąki i lasy, żył sobie pewien chłopiec, o którym chciałabym wam dzisiaj opowiedzieć.

Przenieśmy się do lat dwudziestych XX wieku, kiedy to małe dzieci musiały zarabiać na chleb, a ludzie katowali je ciężką pracą za marne grosze... Ja poznałam jednego z nich, chłopca o imieniu Marek. Podzielił się on ze mną swoimi przeżyciami, swoją historią życia i pracy.

Marek miał dziesięć lat. Sama nie byłam dużo starsza. Pierwszy raz spotkaliśmy się właśnie w pracy, kiedy razem musieliśmy doić krowy na łące Dieriga. To właśnie Christian Gottlob Dierig – przemysłowiec niemiecki (jeden z pionierów przemysłu włókienniczego na Dolnym Śląsku) zatrudniał takie dzieci jak my.

Ale wróćmy do Marka. Jego ojciec był bardzo biedny i schorowany. Nie miał sił, żeby chodzić do pracy, więc to właśnie Marek musiał zarabiać na dom. Spytaście pewnie, co z jego mamą? Dlaczego ona nie pracowała? Kiedy Marek miał trzy lata, jego mama bardzo poważnie zachorowała. Niestety, w tamtych czasach, medycyna nie była jeszcze tak bardzo rozwinięta jak dzisiaj. Mama próbowała zatem walczyć z chorobą przez te trzy lata – nie dla siebie, lecz dla swojego ukochanego synka. Niestety, po trzecich urodzinach Marka zmarła. Ojciec chłopca kompletnie się załamał. Zaczął pić, częściej wychodził z domu. Marek nie mógł patrzeć na to, w jaki sposób ojciec niszczy sobie życie. Sam, z własnej woli, postanowił pójść do pracy, aby zarobić na chleb, którego nieraz w domu brakowało. Wstawał codziennie o 5 rano i chodził na pastwisko doić krowy. Nie było to wcale miłe zajęcie, ale chłopiec nie miał wyjścia. Pomimo że zarabiał marne grosze, jego ojciec był z niego dumny i cieszył się, że ma takiego zaradnego syna. Zawsze powtarzał, że gdyby nie Marek, nie wiadomo, jak potoczyłoby się dalej jego życie. Chłopiec pracował

od rana do nocy, aby zarobić jak najwięcej na leki dla swojego chorego, powoli umierającego ojca.

Pomimo że wiedział, iż śmierć ojca jest tylko kwestią czasu, i tak bardzo przybiła go wiadomość, że życie jego jedyne, najukochańszego taty, właśnie się skończyło. Nie mógł w to uwierzyć. Miał nadzieję, że to wszystko, to tylko zły sen i że zaraz się obudzi. Na jakiś czas porzucił swoją pracę. Chciał dojść do siebie po tym wszystkim, co się w jego życiu wydarzyło. Nie miał już nikogo.

Kiedy skończył 20 lat, postanowił założyć swój własny interes. Zatrudniał ludzi młodych i biednych. Chciał pomóc dzieciom, które były w takiej samej sytuacji jak on kiedyś. Po pewnym czasie poznał także kobietę, z którą ułożył sobie życie. Nareszcie był szczęśliwy. Wciąż jednak pamiętał o swoich zmarłych rodzicach, których bardzo kochał. Marek wychował dwójkę swoich dzieci i wnuków. Kochał życie i chciał zostać na tym świecie jak najdłużej.

Ja, kiedy patrzę teraz z nieba na ludzi żyjących w czasach współczesnych, zazdroszczę im wspaniałego i wolnego życia. Dzieci są szczęśliwe i nie muszą wykonywać ciężkiej pracy, tak jak to było kiedyś, zatem winny to doceniać. Nie narzekać z byle powodów, a cieszyć się każdym dniem, bo gdy już będą dorosłe, zatęsknią za słodką wolnością.

Tak na marginesie: w tym samym miejscu u podnóża Gór Sowich gdzie fabrykancka rodzina Dierigów budowała swoje murowane wille, a dzieci pasły krowy, znajduje się dziś zbiornik wodny OWW „Sudety”. I gdyby nie pamiątkowe zdjęcie Marka, to prawdopodobnie nikt by nie pamiętał o tym, co się wówczas działo na słynnej łące Dieriga.

Patrycja Radziszewska

Niepokojący dzień

Bielawa – małe, spokojne miasteczko u podnóża Gór Sowich. Mieszkałam tam od najmłodszych lat i przeżywałam cudowne chwile. Do czasu...

Latem 1967 roku wydarzyło się coś, co wstrząsnęło całą bielawską społecznością. Był to zwyczajny, upalny, letni dzień. Wczesnym popołudniem wybrałam się z przyjaciółmi nad jezioro, aby się odrobinę ochłodzić. Powietrze drgało od gorąca i było potwornie ciężkie. Od samego rana dało się wyczuć dziwną aurę oganiającą miasteczko, jednak w tym momencie myśleliśmy tylko o zimnej kąpieli w naszym jeziorze.

Już na początku wędrowki dopadło mnie niepokojące wrażenie, że coś złego musiało się stać w miejscu, do którego zmierzaliśmy. Aby odgonić złe myśli, postanowiłam opowiedzieć przyjaciołom pewną historię, którą słyszałam od dziadka. Dotyczyła ona dawnego wyglądu naszego miasteczka. Powiedziałam im, że kiedyś, w czasach młodości mojego dziadka, w Bielawie nie było jeziora, a w jego miejscu znajdowała się łąka. Wszyscy zainteresowali się moją opowieścią, nie wyobrażali sobie naszego miasta bez uwielbianego zbiornika. Mówiłam dalej, opowiadałam o pasących się na łące krowach, o Dierigach, do których ona należała, o ciszy i spokoju tego miejsca. Gdy skończyłam, zatruciliśmy się w rozmyślaniach o przeszłości. Dopiero po chwili się otrząsnęłam. Rozejrzałam się wokół. Zdziwiła mnie wszechobecna pustka. Był to środek lata, więc na drodze oprócz nas powinien być jeszcze tłum innych plażowiczów. Lecz nie było nikogo, tylko my, piaszczysta polna droga i cisza, coraz bardziej zastanawiająca cisza...

Nagle zza zakrętu wyłonił się jakiś mężczyzna, który szedł w przeciwnym kierunku. Było coś dziwnego w jego nieobecnych wzroku i flegmatycznym chodzie. Za nim dostrzegłam tłum ludzi. Nieśli oni ręczniki, koce i kosze piknikowe. Ich wygląd był podobny do idą-

cego przed nimi „flegmatyka”. Na większości twarzy malowało się przerażenie, jedni mieli zszokowane miny, a inni byli jakby smutni i niedowierzali temu, co zobaczyli. Ich widok przyprawił mnie o dreszcze. Nie mieliśmy odwagi zapytać tych ludzi, co skłoniło ich do tak wczesnego opuszczenia jeziora. Tłum stąpał powoli, równo, ociężale. Ludzie byli bladzi, zgarbieni i szeptali coś do siebie, co chwilę ocierając pot z wykrzywionych grymasami twarzy. Słysząc było tylko jednostajny szmer. Chcieliśmy zawrócić, jednak nasza ciekawość kazała nam przeć naprzód. Wiedzieliśmy, że to, co stało się nad jeziorem, musi być bardzo przerażające.

Z trudem wdrapaliśmy się na szczyt. Spojrzeliśmy w dół i zamarliśmy. W oczach moich przyjaciół widziałam przestרח. Nigdy nie sądziliśmy, że w naszym mieście może dojść do czegoś tak okropnego. Stało się coś, o czym wszyscy bali się mówić. W zbiorniku nie było wody.

Krystian Rycąbel

Tajemnica bielawskiego jeziora

Legenda głosi, że nad wsią Biela, obecnie Bielawą, dawno, dawno temu stała góra wysoka, aż hen, hen pod same obłoki.

Zwano ją Czarodziejską Górą. Pełna była dziwów i tajemnic wszelkich, a były od niej takie zapachy, takie kolory, takie w powietrzu muzyki, że słowo tego nie opowie, a pióro nie opisze. Pokrywała ją bajeczna roślinność, kwiaty, a nawet śpiewające drzewa. Było na nich tyle owoców, ile gwiazdek na niebie. Choć zrywane, nie kończyły się nigdy. Okoliczni ludzie nie cierpieli biedy. Żywiła ich Góra.

Czarny Książę Północy był okrutnym władcą. W jego królestwie były tylko lodowe góry, toteż od dawna marzył o Czarodziejskiej Górze z Bieli. Aż w listopadową, wyjątkowo ciemną noc bez księżyca i gwiazd za sprawą czarodziejskiej mocy spowodował, że powoli, powoli Góra z Bieli oddaliła się w stronę Północy.

Ludność długo lamentowała i tęsknie spoglądała w stronę, gdzie teraz było małe źródło z krystalicznie czystą wodą. Szybko się okazało, że ma lecznicze właściwości i ciągle się powiększa. Najstarsi opowiadali, że w księżycowe noce pluskają się w nim złote rybki.

Mijały dni, miesiące, lata i wieki. Czas zacierał opisaną historię. Jednak nie do końca. Być może budowniczy ją znał, być może odgrzebał ją w kronikach Bielawy, dość na tym, że w miejscu Czarodziejskiej Góry, a później pozostałego po niej źródła, zbudował sztuczny zbiornik wodny, czyli Ośrodek Wypoczynkowy „Sudety”, który stał się oczywiście dużą atrakcją i podobnie jak przed wiekami Góra służy wszystkim mieszkańcom. Można w nim uprawiać sporty wodne, pływać, a nawet łowić ryby. Wprawdzie złotych nikt nie widział, za to wieczorami żabie kapele dają koncerty i umilają połowy. Do końca nie wiemy, czy jakiś obecny władca nie marzy o bielawskim jeziorze, jak kiedyś Czarny Książę Północy. Miejmy jednak nadzieję, że w XXI wieku czarodziejskie zaklęcia nie mają już swojej mocy.

Chwile ulotne, wieczne wspomnienia

Kolejny wakacyjny dzień. Słońce na błękitnym tle pukało promieniami do moich okien. Dochodziła siódma. Wiedziałam, że to pora, aby wstać. Otworzyłam okno, by zaczerpnąć świeżego powietrza, a następnie starannie pościeliłam swoje łóżko. Z uśmiechem na twarzy pobiegłam obudzić Antka, mojego brata bliźniaka. Razem poszliśmy do kuchni zjeść naleśniki z masłem i cukrem, które mama codziennie robiła przed pracą. Tuż koło gazówki czekały na nas kanapki z serem i pomidorem zawinięte w papier śniadaniowy oraz duża butelka wody mineralnej. Mama, jak zwykle, prasowała nam ubrania i szykowała się do pracy. Antek był nieco przygnębiony, ale nie chciał powiedzieć mi, o co chodzi. Nie mieliśmy już tak dobrego kontaktu, jak przed śmiercią taty, którą strasznie przeżył. Mama ucałowała nas i następnie udała się do pracy, a my po zjedzeniu śniadania ubraliśmy się, zabraliśmy ręczniki, stroje kąpielowe, naszykowane jedzenie i ruszyliśmy w stronę jeziora, które było naszym ulubionym miejscem do spędzania czasu w wakacje. Szliśmy w ciszy. Nie padło ani jedno słowo. Antek nawet ani razu na mnie nie spojrział. Przez całą drogę próbowałam z nim porozmawiać, ale niestety bezskutecznie.

Kiedy dotarliśmy nad jezioro, dostrzegłam naszych znajomych, którzy czekali na nas. Graliśmy w siatkówkę, karty i kąpaliśmy się w seledynowej wodzie. Byliśmy już zmęczeni, a co gorsze niebo przybierało szarą barwę, więc postanowiliśmy wrócić już do domu. Jednak sprawa z Antkiem nie dawała mi spokoju. Kiedy szliśmy ulicą Lotniczą, poprosiłam Antka o rozmowę. Niechętnie, ale wyraził zgodę. Reszta naszej paczki, nie czekając na nas, w obawie przed burzą szła swoją drogą. Rozpoczęłam rozmowę, ale na darmo – w ogóle mnie nie słuchał. Czułam się tak, jakbym prowadziła monolog. Pogoda robiła się coraz gorsza. Zaczął padać deszcz, wiatr mocno wiał i końcu nadciągnęła burza. Antek strasznie mnie pośpieszał. Byłam

zrozpaczona. Niezależnie od warunków pogodowych, chciałam to wyjaśnić. Złapałam go za rękę i nagle piorun uderzył bardzo blisko nas. Obydwoje upadliśmy na ziemię, mocno zaciskając powieki, ale kiedy otworzyłam oczy, ujrzałam słońce i nagle usłyszałam dziwny niewyraźny dźwięk, przypominał śmiech dzieci. Byłam w wielkim szoku. Kiedy się podniosłam, zobaczyłam przepiękną łąkę, pełną zieleni i polnych kwiatów. Na łące dostrzegłam dziewczynę siedzącą z chłopakiem. Byli mniej więcej w naszym wieku i wyglądali na szczęśliwych. Po chwili Antek również się przebudził, pytając mnie ze zdenerwowaniem, gdzie jesteśmy. Niestety, nie potrafiłam odpowiedzieć na to pytanie, ponieważ sama je sobie zadawałam. Po chwili zaproponował, abyśmy zapytali tę parę o to, gdzie dokładnie się znajdujemy i jak stąd dojść do domu. Kiedy podeszliśmy, ich twarze wydawały mi się nieco znajome, jakby ze starej fotografii, która siedziała mi w głowie, ale nie mogłam jej odtworzyć. Mój brat stał wpatrzony w nich. Przypuszczałam, że zastanawiał się nad tym samym, co ja. Swoje przemyślenia musiałam na chwilę odłożyć. Spytałam: „Przepraszam, gdzie dokładnie jesteśmy i jak stąd można dojść nad jezioro?”. Ze zdziwieniem patrzyli na mnie, a po chwili dziewczyna uzmysłowiła mi, że nigdy w Bielawie nie było jeziora i dopiero w planach jest stworzenie owego. Nie mogłam w to uwierzyć, nie rozumiałam położenia naszej sytuacji. Była zbyt skomplikowana, ale kiedy podali swoje imiona, wszystko ułożyło się w jedną całość. Nagle wiedziałam, dlaczego wydawali się nam dziwnie znajomi. Antek szepnął mi do ucha: „Joasia i Marek, znajomy wygląd, nie ma jeziora, dopiero jest w planach. My... My cofnęliśmy się w czasie!”. Antek rzucił się chłopcu na szyję, płacząc i ciągle mówiąc, jak bardzo tęsknił. Marek, a raczej tata, było bardzo zdezorientowany i nie mógł pojąć, o co Antkowi chodzi, zaś Joasia stała roześmiana. Przeprosiłam i odeszłam na chwilę z Antkiem. Musiałam uświadomić mu, że nie może powiedzieć im prawdy, ponieważ wtedy stracimy jedyną szansę na rozmowę z nimi. Zgodził się na ten warunek. Znałam powód, bo wiedziałam, że chce bardziej poznać ojca, gdyż wcześniej nie miał okazji. Przedstawiliśmy się im z uśmiechem i fascynacją na twarzy, po czym dodaliśmy, że nie jesteśmy stąd, że na jakiś czas przybyliśmy tu z rodzicami. Spędziliśmy z Joasią i Markiem cudowny dzień i do-

wiedzieliśmy się o nich wielu rzeczy. Bawiliśmy się, graliśmy w piłkę, opowiadaliśmy sobie różne historie, kawały. Dzień niestety dobiegł końca i Joasia i Marek, lub jak kto woli: rodzice, musieli wracać do domu. Pożegnaliśmy się z nimi, choć bardzo niechętnie. Usiedliśmy na łące, patrząc w ciszy na gwiazdy, aż nagle Antek zaczął rozmowę. Przeprosił mnie za swoje zachowanie, tłumacząc, iż czuł, że nie zdążył pożegnać się z tatą. Ciągłe go to dręczyło, ale teraz czuje się szczęśliwy, bo dzięki mnie miał taką okazję. Poczułam się cudownie, jakbym odzyskała brata. Przytuliłam się do niego cała zapłakana ze szczęścia, zamykając oczy.

Obudziłam się rano, nie na łące, lecz w swoim pokoju. Nie wiedziałam, co się dzieje. Szybko wstałam i pobiegłam do Antka. Wciąż spał, ale nie mogłam czekać z pytaniem: czy to, co się zdarzyło, było tylko snem, czy rzeczywistością? Gwałtownie go zbudziłam, ale widząc jego uśmiech na twarzy, wiedziałam, że to była prawda. Ucisnął mnie, mówiąc, iż cieszy się, że mnie ma. Udaliśmy się do kuchni, jak każdego poranka na naleśniki, dziękując mamie i wykrzykując, że ją kochamy. Na jej twarzy widoczne było zdziwienie, ale i szczęście.

To dziwne, choć ciekawe zdarzenie było naszą tajemnicą – tylko moją i mojego brata. Nigdy o niej nie zapomnieliśmy: ani o łące, która była przeszłością rodziców, ani o jeziorze, które było nasze.

Maja Sygidus

Dawno, dawno temu, gdzie teraz mamy zbiornik, była łąka z widokiem na Góry Sowie. Młodzi chłopcy chodzili na nią pasać krowy, ponieważ było tam dużo przestrzeni i bardzo dużo trawy, którą krowy mogły jeść. Jeden z nich, najczęściej odwiedzający to miejsce, miał na imię Franko, a jego pięcioletni brat, Marco, pomagał mu w pracy i dzięki temu zarabiał na chałwę. Bardzo ją lubił, a nie zawsze mógł ją sobie kupić. Franko zarabiał pieniądze na rodzinę, bo jego mama była bardzo chora i nie mogła się przemęczać. Pewnego ranka, jak zawsze, obaj bracia wyszli na pole. Krowy tego dnia były dziwnie spokojne. Leżały tylko i nawet przez chwilę nie dokuczały małym pastuszkom. Gdy Franko głaskał jedną z krów, ujrzał w oddali coś świecącego. Powiedział:

– Marco, pilnuj krowy, zaraz wrócę!

I pobiegł jak szalony w tę stronę. Kiedy dotarł na miejsce, okazało się, że świecił sygnet smoka. Nikomu nie powiedział o tym znalezisku. Wrócił do domu i zamknął się w swoim pokoju. W nocy, kiedy już wszyscy spali, włożył sygnet na palec i zaczęły się dziać dziwne rzeczy: książki latały z jednego końca pokoju na drugi, stolik zaczął mówić, podłoga falować, a sam chłopiec zaczął widzieć przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Z przerażenia zdjął sygnet i rzucił na koniec pokoju. Rano zauważył, że go tam nie ma. Spojrzał na swoje dłonie: sygnet był na tym samym palcu.

Przez następne dziesięć lat nie zdejmował go ani na chwilę i uczył się czarować. Stał się CZARNOKSIEŻNIKIEM. Zbudował sobie salę ćwiczeń w górach. Któregoś popołudnia dziwne odgłosy przerwały mu ćwiczenia. Przerwał więc naukę i zaczął się rozglądać. Zauważył, że po jego ukochanej łące leci czarna postać i zbliża się do jego domu. Natychmiast zareagował, wzniósł się do góry i poleciał za nim.

W ostatnich sekundach stanął mu na drodze. Wtedy zaczęła się walka z ciemną stroną mocy. Franko odepchnął przybysza do tyłu i był gotów stracić to, co naprawdę kochał, miejsce jego dziecińczych zabaw, jego sens życia – ŁĄKĘ! Zaczął wytwarzać wodę i zalewać to

miejsce kawałek po kawałku, aż powstało piękne jezioro.

Legenda mówi, że pewnego dnia woda opadnie, a wtedy sygnet znajdzie następcę Franka i po raz kolejny pokona zło na świecie.

Martyna Tejman

Padał deszcz. Za oknem było białe, bo mgła zasłaniała cały krajobraz. Razem z moimi przyjaciółmi nie mieliśmy co robić, ponieważ nie chcieliśmy wychodzić na dwór z powodu deszczu. Po kilku godzinach przejaśniło się i Karol zaproponował, żebyśmy wyszli na polanę niedaleko jego domu. Jak postanowiliśmy, tak też zrobiliśmy. Gdy doszliśmy, ujrzelśmy, że na łące jest pełno krów.

– To pewnie krowy z tej Mini Farmy – powiedziała Ola.

Usiedliśmy pod drzewem. Po chwili ujrzelśmy znajomą twarz. To był Patryk. Był średniego wzrostu. Jego ciemne loki zakrywały mu twarz. Jak zwykle był ubrany w jeansy (opuszczone prawie do kolan) i ciemną bluzę z kapturem na głowie. Podeszedł do nas, żeby się przywitać.

– Cześć! Przepraszam, ale się śpieszę. Jestem już spóźniony – powiedział z pośpiechem.

– A dokąd ci tak śpieszno? – spytał Marek. – Idziesz do Michała i reszty?

– Nie. To znaczy tak. Cześć! – powiedziawszy to, szybkim krokiem oddalił się od nas, oglądając się co chwilę, czy go nie śledzimy.

Wszystkich zdziwiło jego zachowanie. Ciekawiliśmy się, dokąd tak się śpieszy. Postanowiliśmy, że będziemy go śledzić. Ruszyliśmy. Po chwili straciliśmy go z widoku.

– Zgubiliśmy go. Możemy już wrócić na łąkę i dokończyć popołudnie? – zapytała Kasia.

Kaśka to niska dziewczyna o zielonych oczach. Miała ciemne włosy i brwi. Zazwyczaj chodziła z rozpuszczonymi włosami i tylko czasami spinała grzywkę. Nie lubiła zbyt Patryka. Twierdziła, że jest arogancki i niekoleżeński. Tak naprawdę był całkiem w porządku.

– Ej, czekajcie, widzę go, ale ... ktoś z nim jest – powiedziałam.

Towarzysz Patryka był o wiele wyższy od niego. Miał około dwóch metrów. Jego włosy były ciemne i lekko falowane, ale to przez wilgoć. Po dłuższej chwili zorientowali się, że ich śledzimy. Rozdzielili się. My też podzieliliśmy się na dwie grupy. Pierwsza, która śledziła

Patryka, składała się z Kaśki, Bartka, Karola i mnie, a druga z Marty, Marka i Oli. Po upływie pół godziny dotarliśmy na łąkę.

– Co? Tyle się nachodziliśmy, żeby znowu przyjść na polanę? Mówiłam, że śledzenie ich to tylko strata czasu! – zbulwersowała się Kaśka.

– Znowu gdzieś zniknęli – powiedziała Marta.

– O, widzę ich! Tak pod Mini Farmą – powiedział Bartek.

Szliśmy dalej aż doszliśmy do farmy. Na tablicy przed wejściem było napisane : „U nas najlepsze mleko w okolicy”. Weszliśmy do środka. Nagle usłyszeliśmy śpiewaną rymowaną : „Hej ho! Hej ho! U nas kupisz mleko! Krowy na łące się pasą, potem mleko nam dają! My wam je sprzedajemy i dużo forsy dostajemy!”. W tym momencie rozległ się krzyk. Poszliśmy sprawdzić, co się dzieje. Zauważyliśmy starszego mężczyznę z niewielką ilością włosów na głowie. Krzyczał na dwóch ludzi przebranych za krowy.

– Ale obciach pracować w taki sposób – powiedziała Ola.

– No nie jest tak źle. On dużo zarabia, ten właściciel. Patrz, ile za butelkę mleka bierze – powiedział Karol.

– Ale jej chodziło o tych w kostiumach – powiedziała arogancko Kaśka.

– Kaśka, nie bądź niemila. Może Karol nie jest zbyt bystry, ale to nie powód, żeby być takim aroganckim – powiedziałam.

Kaśka wzruszyła oczami i nie odzywała się przez dłuższą chwilę. Podeszliśmy bliżej i okazało się, że to Patryk i jego kolega. Patryk przedstawił go nam. Nazywał się Mateusz. Oczy miał koloru niebieskiego. Ładne oczy komponowały się z radosnym uśmiechem. Kaśce od razu się spodobał.

– A w ogóle co tu robicie? – spytał Bartek .

– Chcemy jechać na taki obóz... – zaczął Mateusz.

– Ale nie mamy pieniędzy, więc pracujemy, żeby zarobić – dokończył Patryk.

– Aha. A czemu pracujecie akurat tutaj? – spytała Marta.

– Bo nigdzie nie chcieli nas przyjąć – odpowiedział Patryk.

Postanowiliśmy dokończyć nasze popołudnie, ale już nie na polanie. Poszliśmy na rynek posiedzieć na fontannie. Rozmawialiśmy o całym dzisiejszym dniu. Zastanawialiśmy się, kto śpiewał tę rymo-

wankę. Nie wytrzymaliśmy i postanowiliśmy zadzwonić do Patryka i się spytać. Zdzwoniliśmy raz, drugi, trzeci, ale bez skutku. Kaśka martwiła się o Mateusza, że coś mu się stało, więc wróciliśmy na farmę. Okazało się, że nie mogli mieć w tym stroju telefonu i dlatego nie odbierali. Gdy Kaśka zauważyła całego i zdrowego Mateusza, rzuciła mu się w ramiona, a potem zarumieniła. Wszyscy zaczęli się śmiać.

– Patryk, kto śpiewał tę rymowaną? – spytałam.

– Yyyyyy... Ja – powiedział zakłopotany.

– Aha. Wiesz, że nie umiesz śpiewać – powiedział Marek, cicho się śmiejąc.

– Tak. Ale ten obóz jest dla mnie bardzo ważny, a jak ci na czymś zależy, to zrobisz dla tego wszystko – powiedział to bardzo poważnie.

Wszyscy spoważnieli. Nagle Kaśka wzięła mnie, Olę i Martę na bok.

– Jej, ale on jest słodki! Chyba to ten mój jedyny! – powiedziała Kaśka i się rozmarzyła.

– Ej, słuchaj! Ty go przecież nawet godziny nie znasz, a już go kochasz! – powiedziała Marta.

Ale Kaśka nie zwracała na to uwagi, bo bardzo się rozmarzyła. Jak dołączyliśmy do reszty, wszyscy wypytывali się, o czym gadałyśmy, a my tylko spojrzaliśmy się na siebie i wybuchnęłyśmy śmiechem. Nikt nie wiedział, o co nam chodzi. Nagle wszyscy zaczęliśmy uciekać, ponieważ krowy wracały do obory, a było ich tak dużo i szybko biegły. Szybko wskoczyliśmy na płot. Strasznie trzęsło, ale się udało. Robiło się już ciemno, więc wracaliśmy do domów. Najpierw odprowadziliśmy Kaśkę, potem Olę, a na końcu całą resztę odprowadziła mnie. To był wspaniały dzień. Był trochę dziwny, ale fajny.

Gdzie szumią topole

Serce drży mi w piersi, gdy uświadamiam sobie, że zbliżam się do celu. Ręce trzęsą się ze zdenerwowania. Myślałam, że to mnie ominie, ale emocje biorą górę. Nie potrafię z nimi wygrać. Niepokój wzrasta z każdą chwilą i zaczynam uświadamiać sobie, że w tym momencie najbardziej na świecie pragnę zawrócić i podążyć tam, skąd przybyłam. Ale to niemożliwe... Pociąg nadal mknie przed siebie, a ja zbliżam się do nieuchronnego.

Odkładam czarno-białe zdjęcia sprzed lat i spoglądam na krajobraz za oknem. Nie poznaję okolicy. Miasto powiększyło się i rozwinęło. Tylko góry w oddali pozostają niezmienione, choć i tak wydaję mi się, że zapamiętałam je nieco inaczej.

Powoli docieram do centrum. Domy stoją gęściej, aż w końcu zabudowa staje się zwarta, a budynki wyższe.

Przyglądam się miastu ze zdumieniem i nie poznaję go. Nie było mnie tak długo, że zdążyło się tu zmienić absolutnie wszystko. Tak wiele może się stać przez czterdzieści lat!... Bielawa rozrosła się i rozwinęła, a ja się tylko postarzałam. Jej przybyło dróg i domów, a mnie zmarszczek. A ludzie? Dostojni i eleganccy. Kobiety w modnych garsonkach, mężczyźni w garniturach, młodzież zgodnie z trendem w dzwonach i kolorowych bluzkach...

Patrzę i mogę się tylko dziwić, jak wszystko się zmieniło. A może niewiele się zmieniło, tylko ja w końcu umiem patrzeć? Nie wiem... Wiem za to, że choć tu się urodziłam, wracam jako obca. Czuję się nieswojo.

Znajoma nazwa stacji podpowiada mi, że powinnam wysiąść, więc wysiadam. Miły konduktor pomaga mi na schodkach wagonu. Staję na peronie z jedną walizką w ręce. Dokładnie tak jak kilkadziesiąt lat temu, gdy opuszczałam rodzinne strony. Widzę siebie we wspomnieniach tamtych dni – młodą, z długim warkoczem, dumną miną i zupełnie innym pomysłem na życie, niż chcieli dla mnie moi

rodzice. Gotowa, by rzucić wszystko, wyjechać do wielkiego miasta i iść własną, lepszą drogą. Wtedy myślałam, że lepszą... A teraz znowu tu stoję, ale z siwą głową i sercem pełnym wstydu.

Potrząsam głową z niedowierzaniem, odganiając natrętne myśli. Ruszam przed siebie, ale czy znam drogę? Teraz wszystko wygląda inaczej... Przed sobą widzę kominy fabryczne. Tam powinnam pójść. Tkálnia – duma Bielawy rośnie przede mną, ale ja patrzę na małe domki z niskimi płotkami. W przydomowych ogródkach roi się od kur i gęsi. Gdzieś niedaleko pieje kogut.

W oddali dostrzegam kapliczkę. Serce znowu bije mi mocniej i skrada się do niego lęk.

Za zakrętem w prawo i później prosto, koło wysokiej topoli. Tak, pamiętam.

Mijam kapliczkę i skręcam w prawo. Wąska ścieżka stała się drogą. Na niegdyś pustym przydrożu stoją domy z ogródkami. Ale topola w oddali nadal góruje nad domami.

Przyśpieszam mimowolnie. Chcę dotrzeć tam szybciej, a jednocześnie wolałabym, żeby stało się inaczej. Nie potrafię tego wytłumaczyć. Boję się tego, co tam ujrzę. Staram się nie patrzeć. Wbijam wzrok w ubitą drogę, ale kątem oka i tak szukam znajomych miejsc. Jest. Mały drewniany domek z białymi oknami i niskim płotkiem. Za domem sad... Ale coś jest nie tak.

Dachówki są porośnięte mchem, z rynny wystaje trawa, podwórko jest zaniedbane. Połowa płotu leży zwalona, a druga jego część również chyli się ku ziemi. Jedno okno, zerwane z zawiasów, jest oparte o ścianę.

Przyglądam się temu smutnemu widokowi ze łzami w oczach. Czuję, jakby złośliwy los ukarał mnie za moje grzechy.

Podchodzę do drzwi. Delikatnie naciskam klamkę. Mimo upływu lat są zamknięte. Tak, pamiętam, jak tata zrobił ten zamek, mocny i trwały, z dużą zapadką, ale przypadkiem założył go do góry nogami i klucz trzeba było wkładać na odwrót, bo inaczej nie pasował. Uśmieciam się mimowolnie. Mamę też to zawsze śmieszyło. Na wspomnienie rodziców znowu ogarnia mnie smutek.

Zaglądam do domu przez okno. W środku panuje nieporządek. Osobiste rzeczy leżą na podłodze porozrzucone. Wszędzie walają się

ubrania, serwety, pościel, trochę książek, stare gazety, buty, nawet jakieś zabawki, moje zabawki... Wszystkie drzwiczki od komód, szaf i skrzyń były pootwierane na oścież. Złodzieje nie próżnowali.

Obchodzę dom naokoło i zaglądam do kuchni przez wybite okno. Tu też ktoś przeszukał kredensy. Słoiki, pojemniki, naczynia i garnki leżą w nieładzie.

Rzucam okiem na sad. Drzewa zdziczały i pokrzywiły się nienaturalnie. Stojąca za domem zagroda dla zwierząt rozpadła się zupełnie, tak jak obórka i komórka na drewno.

Moje dziedzictwo. Opuszczone, zniszczone, rozkradzione.

Jedyne, o czym myślę, to by usiąść na trawie i zacząć płakać. Ale powstrzymuję się nadludzkim wysiłkiem. Stoję tylko ze spuszczoną głową, starając się odpędzić od siebie wrażenie, że wszystko to moja wina. Staram się z całych sił, ale trudno wygrać z prawdą.

Wyciągam poźółkłe zdjęcie. Ja (ośmioletnia dziewczynka) i rodzice. Stoimy przed naszym domem. Patrzę na nasze roześmiane twarze. Mama wpięła mi na czubek głowy ogromną kokardę. Nie cierpiałam tego zdjęcia. Teraz jest zupełnie inaczej.

Wzdycham ciężko, tłumiąc szloch.

Odchodzę powoli, zostawiając za sobą rodzinny dom. Muszę odwieźć jeszcze jedno miejsce.

Znowu patrzę na fabrykę i jej dymiące kominy. W oddali dostrzegam stado krów. Pamiętam, jak całymi dniami biegałam po łące, gdy białe-czarne łaciate pasły się. Tknięta impulsem zbaczam z drogi i przedzieram się w kierunku pastwisk. Teraz mogę dokładniej przyjrzeć się tkalni. Ona także się zmieniła... jak wszystko tu. Nie powinno mnie to tak dziwić.

Dochodzę do szpaleru lip. Muszę zatrzymać się na chwilę i odpocząć. Obcieram pot z czoła i łapczywie łapię oddech. Starość nie radość, jak to mówią. Po chwili idę dalej. Wiatr chłodzi mi twarz. Mrużę oczy przed podmuchami, patrząc na góry piętrzące się nad pastwiskami. W oddali szumią dumne topole. Pamiętaj je, na pewno pamiętam. Wysokie i okazałe drzewa na Łące Dierigów. W ich cieniu siadywałam w upalne dni, jesienią zrywałam ich puszyste nasiona i słuchałam szelestu ich liści, jak najpiękniejszej muzyki.

Docieram wreszcie do szarego pnia i siadam pod nim, jak przed

laty. Nie zwracam uwagi na wilgotną ziemię i chrupanie w stawach. Teraz to jest nieważne. Zamykam oczy i słucham szumu liści. Znowu mam dwanaście lat: gryząc żdźbło trawy, patrzę na muczące krowy i rozmyślam o niebieskich migdałach i życiu w wielkim mieście.

Otwieram oczy. Wraca rzeczywistość. Tak to wszystko się zaczęło: od siadywania pod topolą i planowania przyszłości. Tak bardzo pragnęłam życia innego niż to, które znałam, że zdecydowałam się postawić wszystko na jedną kartę. Przegrałam... przegrałam to, co jest w życiu najważniejsze.

Gdy wyjeżdżałam, myślałam, że mam rację, ale teraz wiem, że było inaczej. Uciekłam, a teraz wracam z pochylonym czołem, prosząc o wybaczenie. Muszę poprosić o wybaczenie. Po to tu przyjechałam. Podnoszę się z trudem i z powrotem kieruję się na drogę. Nie patrzę już ani na topole, ani na lipy, ani na tkalnię. Brnę przed siebie ile sił w nogach, a jeszcze spory kawałek przede mną. Ale to dobrze, jeszcze raz przemyślę, co powinnam powiedzieć. Tak, muszę wszystko jeszcze raz rozważyć, odpowiednio dobrać słowa, wyznać, co mi leży na sercu.

Tonę w refleksjach. Tonę tak głęboko, że nawet nie zauważam, jak docieram do śródmieścia. Podnoszę głowę i ze zdziwieniem spoglądam na nowe ulice. Nie wiem, gdzie iść. Zaczepiam przechodniów. Muszę pytać o drogę w mieście, z którego pochodzę. Znowu ten wstyd.

Zakłopotana ruszam w kierunku wyznaczonym przez życzliwego nieznajomego. Gdy zbliżam się do celu, okolica wydaje mi się jakby znajoma, ale może to tylko wymysł starego umysłu.

Mijam bramę cmentarną i ruszam na grób dziadków. Przypuszczam, że tam znajdę rodziców. Przeciskam się między nagrobkami, zaskoczona, ile ich przybyło od czasu, gdy byłam tu ostatni raz.

Docieram na miejsce. Widzę dwa dodatkowe imiona na płycie. Spuszczam głowę ze skruczą.

Wiele razy w myślach układałam moją spowiedź. Chciałam wyznać rodzicom, jak bardzo żałuję, jak bardzo się pomyliłam i jak mi wstyd. Chciałam przeprosić, że tak ich opuściłam, że okazałam się wyrodną córką, że nie mieli ze mnie pociechy, że ich jedyne dziecko tak ich skrzywdziło. Chciałam przyznać się do błędu, powiedzieć, że

mieli rację, że odkryłam to wiele lat temu, ale duma i zawziętość nie pozwalały mi tu wrócić, a później wstyd i skrępowanie.

Teraz, kiedy nie mogę już spojrzeć im w oczy, wracam tu przygotowana do wyznań, ale kiedy patrzę na ich grób, nie mogę rzec ani słowa. Tyle razy wyobrażałam sobie, jak wyjawiam im wszystko, a teraz, gdy mam to zrobić, nie potrafię. Padam na kolana i zaczynam płakać. To jedyne, na co mnie stać. Czegokolwiek bym nie powiedziała i tak nie doczekam się przebaczenia. Jest zbyt późno, by przepraszać...

Nie wiem, ile tak klęczę. Tracę poczucie czasu. Policzki zaczerwienione od łez, pieką mnie niemiłosiernie. Drżącą ręką przecieram spuchnięte oczy. Wstaję z trudem i uświadamiam sobie, że nie mam nawet jednego znicza, żeby zapalić go na mogile. Zastanawiam się, jak mogłam o tym zapomnieć. Ale to nic. Wrócę tu jeszcze nie raz. Opuszczam cmentarz. Wcale nie czuję się lepiej. Nie przeżyłam oczyszczenia. Jeszcze na to za wcześnie. To dopiero początek mojej drogi ku odkupieniu.

Wracam do domu. Mojego domu. Sięgam ręką do skrytki pod parapetem. Klucz jest tam jak zwykle. Jednak nie wszystko się zmieniło. Otwieram drzwi i przekraczam próg. Rzucam okiem na straszliwy bałagan. W kącie kładę walizkę i ściągam żakiet.

Czas zakasać rękawy i zacząć naprawiać swoje błędy, bo gdzie będzie mi lepiej, jeśli nie tam gdzie szumią topole?

Nicole Wasilewska

Złodziej szczęścia

Dzień zaczął się jak każdy inny. Siódma rano, marzec, pierwsze promienie słońca zaglądające przez okno, lekki podmuch wiatru i oby ostatnie już w tym roku płatki śniegu. Odgłosy dobiegające z kuchni wskazywały na to, że mama już nie śpi. Z nadzieją postanowiłem sprawdzić, co pysznego przygotowała na śniadanie. Rozczarowanie nastąpiło tuż po pierwszych spojrzeniach na nerwowo sprzątającą, ubraną w żółty fartuszek kobietę. Chodziła w jedną i w drugą stronę, przekładając rzeczy w różne miejsca. Chciałem się wrócić do pokoju, ale stało się: zostałem zauważony.

– Cześć, synku, chodź, siadaj, za moment przygotuję ci coś do jedzenia – powiedziała gospodyni.

Zgodnie z poleceniem usiadłem na drewnianym, pokrytym białym obiciem krześle i aż bałem zapytać, co się stało. Nigdy wcześniej nie widziałem mamy w takim stanie. Jej twarz była blada, oczy opuchnięte i chyba najsmutniejsze, jakie kiedykolwiek widziałem. Właśnie rozkładała talerze z kanapkami na stole, gdy usłyszałem odgłos otwierających się drzwi wejściowych. Do kuchni szybko wbiegł mój pies, Fago, który jako jedyny dzisiaj cieszył się, że mnie widzi, a za nim powolnymi krokami w milczeniu wszedł tata. Usiadł obok i wziął kanapkę do ręki. Dłoń taty trzęsła się jak nigdy, jego wzrok przypominał wzrok mamy. Śniadanie przebiegło w milczeniu. Tylko Fago siedział grzecznie na podłodze i merdając ogonem, czekał, aż dostanie resztki moich kanapek. Skończyłem jeść i poczułem, że nie mogę tak dłużej. Postanowiłem o nic nie pytać, wstać i udać się do swojego pokoju. Odsunąłem się razem z krzesłem i nastąpił przełom ciszy.

– Kacper, mamy dla ciebie złe wieści – takie słowa od głowy rodziny raczej nie wróżą niczego dobrego. Patrzyłem więc ze strachem i zaciekawieniem na ojca, któremu jakiegokolwiek słowa ciężko przechodziły przez gardło.

– Straciliśmy dziś wszystko. Nasz dom zostanie zburzony, nasze pole

zniszczone, zwierzęta pójdą pod nóż. Dostaliśmy dwa tygodnie na spakowanie naszych rzeczy. Na następny tydzień przyjadą po nasze zwierzęta. Razem z osobą, która przywiezie nam stertę papierów do podpisania i klucze do nowego mieszkania – zakończył tata.

Oczy zasły mi łzami. Nie wierzyłem w to wszystko. W piżamie wybiegłem przed dom. Usiadłem na tarasie. Coraz więcej słonych kropli płynęło po mojej twarzy. Na stoliku obok znalazłem list. Nie czyta się cudzej korespondencji, ale nie mogłem się oprzeć. Wiedziałem, że to papierek z urzędu, przez który zostaliśmy pozbawieni obecnego życia i przez który zamieszkamy w jakiejś klitce.

– Nie do wiary! – powiedziałem sam do siebie.

Naszym kosztem zrobiją z wioski turystyczne miasteczko, w tym właśnie miejscu wykopią wielki dół i zaleją go wodą. Powstanie sztuczne jezioro, wokół którego wybudują pensjonaty i hotele, a malowniczy górski krajobraz będzie pięknym dopełnieniem spodziewanego sukcesu.

Na dwór wyszła mama, przynosząc koc, którym mnie okryła, i kubek ciepłej herbaty.

– Mamo, czy to jest zgodne z prawem, czy tak można? Gdzie ci ludzie mają serca? Musimy coś zrobić! Idźmy do sądu! Mam jakieś oszczędności, wynajmiemy najlepszego prawnika, który nam pomoże! – drżałem z emocji.

– Kochanie! – spojrzała na mnie z jeszcze większym smutkiem niż przy śniadaniu. – Nie da się nic zrobić, dzwoniliśmy już do prawnika. Obszar, na którym mieszkamy, został kiedyś zabrany pod zastaw kredytu, który nie został nigdy spłacony. Ten dom dostaliśmy w spadku. Wiedzieliśmy o zadłużeniu i powoli płaciliśmy zaległe raty, jednak nie udało nam się w terminie w pełni go spłacić, więc cały teren przeszedł w posiadanie władz wsi, a my mogliśmy dalej tu mieszkać, płacąc co miesiąc czynsz za wynajem. Właśnie dziś kończy się umowa i nie zostanie przedłużona – wytłumaczyła dokładnie mama, po czym udała się z powrotem do domu.

Dzisiaj jest ten dzień. Tata właśnie pomaga urzędowym pracownikom zapakować na przyczepy dwóch dużych samochodów nasze zwierzęta, osobno krowy i świnię. Mama siedzi w kuchni i płacze, a ja nawet nie chcę wychodzić z pokoju. Wszędzie pełno kartonów,

walizek i reklamówek. Zostały mi ostatnie chwile tutaj. Nie potrafię wyobrazić sobie, jak to teraz będzie. Wiem, że zawsze narzekałem na ciężką pracę w polu, na robotę przy zwierzętach, na brak dużej ilości wolnego czasu, ale nigdy nie chciałem tego stracić. Wiedziałem, że takie było moje przeznaczenie i że kiedyś to ja będę gospodarzem tego domu.

Po zapakowaniu samochodów wyruszyliśmy w podróż do nowo wybudowanego bloku, w którym od dziś będziemy mieszkać. Przeszłość została pogrzebana, a przywitała nas wysoka, kolorowa przyszłość. Dużo hałasu, dużo ludzi. Sąsiedzi już wyglądają przez okno, a Fago biega za okolicznymi podwórkowymi psami. Nie było czasu, zbliżał się wieczór, trzeba było się rozpakować. Jako że chciałem pokazać się z jak najlepszej strony, wziąłem największy karton, jaki potrafiłem unieść, i ruszyłem w stronę drzwi. Na klatce schodowej usłyszałem głos:

– Może przytrzymam ci drzwi?

Jego delikatna barwa od razu zdradziła, że to musi być piękna dziewczyna. Na myśl o tym cały zdębiałem, moja nieśmiałość pozwoliła wydusić mi jedynie cichutkie: proszę. Dziewczyna zachichotała, a ja zawstydzony ruszyłem prosto w stronę otwartych drzwi. Nie wiedziałem, że muszę najpierw wejść na stopień, więc mój pierwszy krok okazał się ostatnim. Upadłem i najchętniej od razu zapadłbym się pod ziemię. Drobną istotką pomogła mi wstać i pozbierać rozsypane rzeczy. Przez zakłopotanie nawet jej nie podziękowałem. Do bra strona tego była jednak taka, że to był początek pięknej znajomości z piękną Malwiną.

Minęły dwa lata. Dość dobrze radzę sobie w szkole, zapisałem się do szkolnej drużyny siatkarskiej. Mam więcej czasu, dzięki czemu znalazłem przyjaciół i odkryłem nowe, nieznane mi uczucia, które łączą mnie z Malwiną. Właśnie na nią czekałem, gdy zadzwonił telefon od trenera. Zakończyłem rozmowę i podekscytowany pobiegłem do rodziców.

– Mamo, tato, wasz syn za tydzień ma pierwsze zawody siatkarskie! – oznajmiłem z radością, która ogarnęła także moich słuchaczy. Nadszedł dzień meczu.

– Strasznie się denerwuję – powiedziałem do Irka, najlepszego chło-

paka w drużynie.

– Daj spokój, masz duży talent. Powiem ci, że mamy niesamowite szczęście, bo jako pierwsi będziemy grać na nowo wybudowanej sali obok hotelu Paw – oznajmił i dodał mi otuchy przyjaciel.

Nie do końca wiedziałem, gdzie znajduje się ta sala, i jak się później okazało, wołałbym się nie dowiedzieć wcale. Ten cały hotel powstał w obrębie jeziora, które zabrało mi wszystko. Przez to otoczenie nie mogłem skupić się na grze. Grałem w głównym składzie i wiem, że przyczyniłem się do naszej przegranej. Wszyscy to wiedzieli. Trener był zły, drużyna podobnie. Nikt nie rozumiał, jak to miejsce na mnie wpływało, a gdy okazało się, że od następnego miesiąca nasze treningi będą się odbywać właśnie tam, wiedziałem, że nie mam czego szukać w drużynie. Jak najszybciej wypisałem się pod pretekstem wykrytej u mnie silnej i przewlekłej astmy. Wszystkim było bardzo przykro, a ja długo nie mogłem znaleźć innego zajęcia, które pochłonięłoby mój wolny czas.

Lato i wakacje spędziłem w domu. Większość moich znajomych wybierała się nad sztuczne jezioro, które stało się niezwykłą atrakcją nie tylko dla przyjezdnych. Ja, będąc w tamtej okolicy, trzymałem się wspomnień, przez co robiłem się przygnębiony, a czasem nawet podenerwowany. Nikt nie wiedział, jak powstało jezioro i co ze sobą przyniosło. Że przez to moja rodzina się rozpadła. W domu zaczęły się ciągle kłótnie, mama i tata nie potrafili się już dogadać. Miesiąc temu się rozwiedli. Tata się wyprowadził, a mama pogрузzyła się w nową pracę księgową.

Jesień minęła szybko. Nowy rok szkolny, przygotowania do matury. Mój związek z Malwiną się rozwijał. Wiedziała, że skrywam w sobie wielką tajemnicę i że jest ona związana z jeziorem. Nie rozumiała tylko, dlaczego nie chcę jej o niczym powiedzieć. W grudniu podpytała jednak moją mamę i nie mogłem dalej unikać rozmów o tym. Padła propozycja spotkania się nad nieszczęsnym jeziorem. Nie miałem wyjścia, musiałem się zgodzić.

Piętnasta, czyli godzina, w której zacznie się rozdrapywanie ran, ale zależy mi na Malwinie, więc w końcu musi się wszystkiego dowiedzieć. Na śmierć zapomniałem wyjść z Fago, mamy nie było, a była już niemal 15. Spóźnienie gwarantowane. Wyprowadziłem

szybko psa i pobiegłem nad jezioro. 25 minut po czasie byłem u stóp zbiornika. Dziewczyna miała czekać na mnie na siódmej ławce od początku spacerowej skarpy. Z daleka nie mogłem jej dostrzec, zauważyłem jednak grupę ludzi stojących niemal w kręgu na zasypanej śniegiem plaży. Szedłem spokojnie, zastanawiając się, co się tam dzieje. Cieszyłem się, że Malwiny jeszcze nie ma i że dzięki temu nie dowie się o moim spóźnieniu. Doszedłem do ławki, ale zamiast tam czekać, poszedłem na początek spacerowej drogi, gdzie znajdowały się schody, po których można było zejść na plażę. Spostrzegłem, że dzieje się tam coś niedobrego. Usłyszałem sygnał alarmowy pogotowia ratunkowego, które zbliżało się właśnie tutaj. Zanim zdążyłem dotrzeć do grupy gapiów, karetka była już na miejscu. Podbiegłem tam i zobaczyłem leżącą na śniegu Malwinę, którą ratownicy właśnie mieli przenosić do wozu. Krzyczałem, pytałem ludzi, co się stało. Okazało się, że wpadła do wody, bo lód się załamał i nie wiadomo, ile czasu była pod jego taflą. Nic więcej nie słyszałem, głos wewnętrzny kazał mi biec do szpitala. Po drodze złapałem jakiś nadjeżdżający autobus i byłem na miejscu najszybciej jak tylko potrafiłem. W międzyczasie dzwoniłem do mojej mamy i do rodziców dziewczyny. W szpitalu nikt nie chciał mi nic powiedzieć. Patrzyłem obsesyjnie na drzwi wejściowe i doczekałem się: przyjechali jej rodzice. Ale było już za późno. Lekarz powiedział, że organizm Malwiny został bardzo wyziębiony, że w płucach znalazło się dużo wody i że pomimo ogromnych starań nie udało się jej uratować.

Nie potrafię wyrazić, co poczułem tamtego dnia i co czuję do dziś. Jezioro zabrało mi najpierw miejsce mojego wychowania – dom, w którym spędziłem 16 lat mojego życia, zwierzęta, o które dbałem codziennie i z którymi nieraz spędzałem więcej czasu niż z własnymi rodzicami. Później odebrało mi pasję – siatkówkę, której nie mogłem trenować przez wspomnienia, jakie wywoływał tamten teren. W końcu przez to wszystko rozpadła się moja rodzina, niemal straciłem ojca i prawie nie mam z nim kontaktu. A już na sam koniec zbiornik zabrał mi moją pierwszą miłość i nadzieję na moje ponowne odrodzenie i życie bez tajemnic.

Zalew

Pewnego letniego dnia w okolicach Gór Sowich dwoje dzieci pasło swoje krowy.

Chłopcy dobrze się bawili pośród gór i łąk. Każdy z nich po udanej zabawie zaczął doić krowy. Kanki z mlekiem zanosił do domu najstarszy z braci. Po zakończonej pracy chłopcy ponownie zaczęli hasać i biegać po trawie. Nagle rozpętała się burza. Dzieci próbowały uciekać, ale... Nagle piorun uderzył w sam środek łąki, a one ledwo schowały się za jedną z krów o imieniu Krasula. Myślały, że to już koniec tej burzy, ale nagle zaczęła się ulewa. Tego właśnie roku Bielawa została zalana.

Następnego dnia dzieci nie poszły paść krów, ponieważ w ich mieście było powyżej metra wody.

Rodzice byli zrozpaczeni, bo cały dorobek ich życia (10 krów) „przeminął z wiatrem”.

Parę dni później, gdy ustąpiła ulewa i wody w mieście ubyło, dzieci poszły na miejsce dawnej łąki, ale jej tam nie było. Bracia zauważyli coś jakby stawik. Po upływie kilku lat stawik ten poszerzono i powstał sztuczny zalew o nazwie OWW „Sudety”.

Tych dwóch chłopców można zobaczyć na dawnych zdjęciach oraz na ulicy w Bielawie. W tej chwili są to dwaj starsi panowie, którzy chętnie opowiadają o wydarzeniach sprzed kilkudziesięciu lat.

Dawno, dawno temu młody gospodarz popędził jak zwykle rano swoje krowy na łąkę u podnóża gór. Pasły się tam spokojnie. Nic nie zapowiadało wydarzeń, które później nastąpiły. Poszedł więc w góry.

Nagle rozpętała się straszna burza. Mężczyzna zgubił się w lesie, a krowy rozpiechły się nie wiadomo gdzie. Piotr nie mógł znaleźć dobrej drogi. Przemoczony i zziębnięty wyszedł wreszcie na łąkę, krów jednak tam nie było. Poszukiwania nie przyniosły rezultatu. Stało się faktem, że stracił jedyne źródło utrzymania.

Kiedy tak smutnymi oczyma wodził dookoła w nadziei, że jednak za chwilę ujrzy swoje „zguby”, jego oczom ukazało się małe cielątko. Stało samotnie pod drzewem, trzęsąc się z zimna niczym osika na wietrze. Tak. Tylko ono mu zostało, wrócił więc z nim do domu i strzegł go jak oka w głowie. Karmił cielaczka dobrze, żeby ten jak najszybciej urósł i zaczął dawać mleko. Krówka rosła dość szybko. W tym czasie Piotr doświadczył, co to bieda i niedostatek, jednak nie poddawał się. Wierzył, że będzie lepiej. I tak się stało. Dobrze odżywiona młoda krówka zaczęła dawać mleko, sprzedawał je, robił sery i masło. Zaczął oszczędzać i wybudował nowy dom.

Pewnego dnia, gdy przechadzał się koło domu, jego oczom ukazała się zjawiskowa postać. Zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia. Niosła w ręku ciężkie torby. Podbiegł więc i zaoferował pomoc. W zamian Eliza zaprosiła go na filiżankę ziołowej herbatki. Poznawali się coraz bliżej. Wreszcie zdecydowali się na ślub. Dalsze ich życie potoczyło się jak w bajce.

Żyli długo i szczęśliwie w zdrowiu i dostatku, wychowując gromadkę ślicznych dzieci. Dochowali się stada krów, a wśród nich była Mućka, która dawała im wiarę w lepsze jutro.

Niesamowita przygoda

Wokół nas dzieje się dużo rzeczy, czasem nawet trudno uwierzyć, że są prawdziwe.

Ta historia wydarzyła się w 1920 roku. Janek i Kuba mieli po 14 lat. Janek był blondynem o ciemnoniebieskich oczach. Nic nie było w stanie go przstraszyć, a do tego zawsze towarzyszył mu dobry humor. Kuba był pulchny i bojaźliwy, ale nigdy nie zostawiłby przyjaciela w potrzebie. Wszystkim rzucała się w oczy jego bujna ruda czupryna.

Chłopcy byli niemal nierozłączni i przeżyli razem wiele przygód, ale jeszcze żadna nie mogła równać się z tą.

Pewnego razu przyjaciele postanowili wybrać się na spacer po Bielawie i wymyślić coś ciekawego, aby nie nudzić się przez resztę dnia. Szli prosto przed siebie, nie zwracając uwagi na kierunek ani cel. Janek jak zwykle opowiadał Kubie historie o duchach i zjawach, które rzekomo widział, ale w rzeczywistości były to same bzdury, które wymyślił po drodze.

– Zmyślasz – powiedział niepewnie Kuba, kiedy przyjaciel skończył opowiadać mu jedną z tych historyjek.

– W życiu! Sam to wszystko widziałem! Ale nie martw się, po ciebie duchy nie przyjdą. Nawiedzają tylko tych, którzy w nie wierzą – zaśmiał się Janek.

Chłopcy dotarli na łąkę niedaleko zakładu Christiana Dieriga, na której pasły się krowy. Nie zastanawiając się długo, Kuba i Janek usiedli pod drzewami i postanowili trochę odpocząć. W jednej chwili niebo zachmurzyło się i zerwał się wiatr. Kuba bardzo się przestraszył, bo poczuł czyjąś rękę na ramieniu, jednak kiedy się odwrócił, nikogo tam nie było. Spojrzał na Janka, który już smacznie drzemał obok niego.

– Kuba... – chłopiec usłyszał szept blisko swojego ucha i aż podskończył.

– Kim jesteś? Przestań mnie straszyć! – krzyknął przerażony.

– Jestem duchem. Straszyć? Myślałem, że zainteresuje cię moja historia – zaśmiał się głos.

– Jaka historia? O czym ty mówisz? – zapytał Kuba, a jego oddech przyspieszył.

– Byłem kiedyś tkaczem. Nie wiem, czy mogę nazwać to pracą, zarabialiśmy bowiem bardzo mało. Czasem nawet nie wystarczało, aby wyżywić rodzinę. W końcu w 1844 roku zbuntowaliśmy się i 5 czerwca wdarliśmy się na teren zakładów Dieriga. O, tutaj, niedaleko. Niestety, nasze powstanie zostało po kilku dniach krwawo stłumione przez wojsko pruskie. Zginęło 11 osób. Jedną z nich byłem ja. Teraz tułam się po tej łące, wśród krów i czekam na kogoś, kto wysłuchałby mojej historii.

Kuba miał już ciarki na całym ciele i siedział nieruchomo.

– Dlaczego akurat mnie opowiedziałeś o tych wydarzeniach?

– Bo słyszałem, że nie wierzysz w duchy i zapragnąłem to zmienić. Przyznaję, że przy okazji chciałem cię trochę nastraszyć. Teraz już wierzysz?

– Tak, tak! Ja muszę wracać do domu, późno już – przestraszony chłopiec poderwał się z miejsca i obudził Janka, a wiatr ustał i niebo zrobiło się jaśniejsze.

– Dobrze, że mnie obudziłeś. Rodzice będą się o nas martwić. Coś ty taki wystraszony, jakbyś ducha zobaczył? – ziewnął Janek, przeciągając się.

– Opowiem ci po drodze.

Janek nie uwierzył w historię, którą opowiedział Kuba, ale zgodził się z przyjacielem, że nigdy już nie pójdą na tę łąkę.

Tego wydarzenia Kuba na pewno nie zapomni przez długi, długi czas.

Bajka trochę prawdziwa o łące, która się w jezioro zamieniła

Pewien bogaty pan oprócz tego, że miał fabrykę, miał także ogromną łąkę i stado krów. Krowy pasły się na łące bez opieki i zdarzało się, że ginęły. Pan zatrudnił więc parobka, aby ich pilnował. Był to młody, przystojny i mądry chłopak. Bogacz miał dzieci, którymi opiekowała się jego druga żona. Szczególnie nie lubiła ona swojej najstarszej pasierbicy. Często dawała jej do wykonania różne prace. Raz wysłała ją na łąkę, aby zaniósła obiad parobkowi. Dziewczyna, jak tylko ujrzała parobka, od razu się w nim zakochała, z wzajemnością zresztą. Od tej pory spotykali się potajemnie na łące, a świadkami ich spotkań były tylko krowy. Macocha miała jednak inne plany w związku z dziewczyną.

Znalazła jej bogatego narzeczonego, który był starym, nie miłym człowiekiem. Dziewczyna za nic w świecie nie chciała go za męża, przyznała się więc rodzinie do uczucia, które łączyło ją z parobkiem. Macocha postanowiła działać. Namówiła męża do sprzedania łąki i krów, a parobka podstępem zmusiła do zaciągnięcia się do wojska – zagroziła, że skrzywdzi dziewczynę. Zrozpaczona dziewczyna wymykała się z domu na łąkę i tam płakała z żalu za ukochanym. Po kilku dniach, w miejscu, gdzie rozpaczała, powstała kałuża, po kilku tygodniach sadzawka, a po kilku miesiącach staw...

Po kilku prześlakanych przez dziewczynę latach jej wierność została nagrodzona. Parobek, który w wojsku wykazał się wielką odwagą i mądrością, szybko awansował i został pułkownikiem. Wrócił do Bielawy i odnalazł dziewczynę. Teraz już mogli się pobrać i żyć długo i szczęśliwie! Staw z łez dziewczyny jednak na łące pozostał. Po wielu latach na jego miejscu powstał piękny zbiornik wodny...

Z wodnych opowieści

To lato było dla mnie bardzo wyjątkowe, choć na początku na takie się nie zapowiadało.

Kiedy już zaczęło mi się nudzić, postanowiłam, że się przebiorę i pojeżdżę na rowerze. Tak też zrobiłam. Wychodząc z domu, zamknęłam drzwi i skierowałam się w stronę garażu, z którego wyciągnęłam mój czerwony dwukołowy pojazd. Wygodnie usadowiłam się na siodełku i ruszyłam na moją rowerową wycieczkę. Jechałam bez celu, a spokojny, letni wiatr, przeczesał moje długie włosy. Mijałam kolejne ulice i, nie zdając sobie z tego sprawy, zjechałam nagle na nieznaną mi polną ścieżkę. Wokół mnie rosły łany zboża, które miały złocisty kolor. Mimo że nie wiedziałam gdzie jestem, postanowiłam, że pojadę dalej. Byłam ciekawa, dokąd zaprowadzi mnie ta droga. Nagle dostrzegłam, że przez pole przepływa strumień. Zdziwiło mnie to, gdyż nigdy nie wiedziałam, że w moim mieście płynie jakaś rzeczka. Każde źródło ma swoje ujście. A gdzie kończy się ten strumień?

Dotarłam do jakiegoś dużego zbiornika wodnego. Skąd to jezioro się tutaj wzięło? Nie miałam pojęcia, że moje miasto posiada tak wspaniałe miejsce. Postanowiłam, że trochę się rozejrzę, więc zeszłam z roweru, aby się przejść wokoło. Kiedy podziwiałam niezwykle uroki tego miejsca, nagle usłyszałam dziwne dźwięki. Postanowiłam sprawdzić, co jest źródłem tych odgłosów. Nie mogłam uwierzyć w to, co zobaczyłam. Myślałam, że tak naprawdę śnię. Moim oczom ukazały się jakieś dziwne istoty, które odpoczywały na brzegu jeziora. Siedziały do mnie tyłem, więc widziałam jedynie ich długie, w odcieniu złota włosy i coś, co mnie zdziwiło: ich stopy były przekształcone w płetwy.

– Kim one są? – zastanawiałam się.

Jedna myśl przyszła mi do głowy: że są to syreny. Ale przecież nie mogła to być prawda. Syreny w moim mieście?! To przecież

nierealne. One nie istnieją! Postanowiłam przyjrzeć im się z bliska i minimalnie zaczęłam zmniejszać odległość między nami. Nagle nadepnęłam na patyk, który złamał się z charakterystycznym dźwiękiem. Wtedy zobaczyłam, że patrzą na mnie trzy pary błękitnych, przestraszonych oczu.

– Kim jesteś? – zapytała jedna z dziwnych istot.

– Pytanie, kim wy jesteście? – wyjąkałam. – I co tu robicie?

– Nie bój się nas – przemówiła druga. – Nie zrobimy ci krzywdy, jeśli nic nam nie zrobisz i nikomu o nas nie powiesz.

– Nie mam takiego zamiaru, ale musicie mi wszystko wyjaśnić i powiedzieć, co to za miejsce.

Podczas rozmowy z syrenami, dowiedziałam się, że pochodzą one z bardzo starej rodziny, która założyła moje miasto. Mieszkała tutaj od wieków. Co lato przypływają tutaj, do jeziora o nazwie „Sudety”, aby opiekować się tym tajemniczym zbiornikiem. Z opowieści syren wywnioskowałam, że to miejsce jest dla nich bardzo ważne, ponieważ w głębinach jeziora ukryty jest skarb, który jest dla nich bezcenny. Obawiają się o to, że ludzie zniszczą ich dziedzictwo i nic z niego nie zostanie. Bardzo zaciekała mnie historia opowiedziana przez trzy wodne mieszkanki i nie zauważyłam nawet, kiedy się ściemniło.

– Muszę już wracać do domu – powiedziałam z żalem. – Jutro przyjdę do was z powrotem.

– Będziemy na ciebie czekać – odparły chórem.

Po pożegnaniu ruszyłam do domu.

Resztę wakacji spędziłam, rozmawiając z moimi nowymi znajomymi. Całe dni słuchałam ich opowieści o wodnym życiu i nieznanym mi dotąd historii Bielawy. Nauczyłam się także pływać. Wraz z końcem wakacji syreny musiały opuścić miasto. Przed ich odpłynięciem złożyłam im uroczystą obietnicę, że zatrzymam wszystko w tajemnicy i do momentu ich powrotu zajmę się jeziorem. Nie chciałam się z nimi rozstawać, bo stały mi się bardzo bliskie, ale one nie mogły zostać tutaj dłużej.

Po ich odpłynięciu regularnie przychodziłam nad zbiornik „Sudety” i spędzałam tam całe dni, słuchając śpiewu ptaków i podziwiając otaczającą mnie niezwykłą przyrodę. Kochałam ten widok: zbiornik porośnięty dookoła gęsto drzewami, które były przepięknie

zazielenione wiosną i latem, a jesienią stały w odcieniach złota, brązu i pomarańczy.

Spis treści

Poezja

Julia Barczyk, <i>Moja Bielawa</i>	7
Brygida Błażewicz, <i>Pocztówka z Langenbielau</i>	9
Milena Borejko, <i>Wspomnienie</i>	11
Natalia Bujanowska, <i>Jesień</i>	12
Mikołaj Bujnowski, <i>Lotnisko?</i>	13
Barbara Bulerska, <i>Tajemnicza łąka</i>	14
Jakub Cieplichowicz, <i>Łąka pod jeziorem skrywana</i>	15
Angelika Cieśla	16
Natalia Czerwiec	17
Julia Droś, <i>List</i>	18
Klaudia Dylewska, <i>Wierszyk o krowie</i>	19
Bartek Dudkowiak	20
Marta Gdula, <i>Krowy</i>	21
Maria Grabowska, <i>Łąka Dierigów</i>	22
Karolina Gruzel	23
Natalia Ilnicka, <i>Góry Sowie</i>	24
Anna Jarosz, <i>Tu</i>	25
Dominika Jerzyk, <i>Piosenka</i>	26
Katarzyna Kargul, <i>Zdjęcie</i>	27
Weronika Klincewicz	28
Karolina Kmiotek, <i>Nowa woda</i>	29
Witold Kopec, <i>Bielawskie Pejzaże</i>	30
Daria Kozubal	32
Natalia Krupiarz, <i>Łąka pełna życia</i>	33
Paulina Kucharek	34
Matecka Milena, <i>Czas</i>	35
Martyna Milejska, <i>Zielone wzgórza</i>	36
Mateusz Nowak, <i>Góry Sowie</i>	37
Natalia Nowicka	38
Monika Olejnik, <i>Wspomnienia lipy</i>	39

Jessica Opiola	41
Aneta Parzoń, <i>Łąka Dierigów</i>	42
Natalia Pasek	43
Magdalena Pawlak, <i>Sen na łące Dierigów</i>	44
Mirosław Pęciak, <i>Bielaviany</i>	46
Michał Piątek, <i>Krówki i krasnoludki</i>	47
Martyna Pitaś	48
Nicola Prymatczuk	49
Sandra Przybylska, <i>W naszej dolinie</i>	50
Agnieszka Pułkownik, <i>Chwila relaksu</i>	51
Kamila Rochna, <i>A góry pilnują...</i>	52
Adam Roppel, <i>Krajobraz Dierigów</i>	54
Gabriela Rusak	55
Izabela Sędziwa, <i>Bielawski pejzaż</i>	56
Oliwia Siejk, <i>Krajobraz</i>	58
Kamila Skubisz, <i>Łąka Dierigów</i>	59
Paweł Sobota, <i>Na łące</i>	60
Adrianna Stachowiak, <i>Wokół nas</i>	61
Adrianna Stanecka, <i>Jedno miejsce, tysiąc wspomnień</i>	63
Oliwia Stolarczyk, <i>Historia zbiornika „Sudety”</i>	64
Aleksander Styrz, ***	66
Mikołaj Sulmiński, <i>Łąka Dierigów naszym jeziorem</i>	67
Anna Sułek, <i>Moja łąka</i>	68
Michał Szczepaniak	69
Agnieszka Szymańska, <i>Łąka Dierigów</i>	70
Kacper Środoń, <i>Wspomnienie</i>	72
Damian Tubek, <i>Łąka Dierigów</i>	73
Marcelina Wagiel, <i>Łąka</i>	75
Dominik Wojtko	76

Proza

Edyta Adamska, <i>Niespodziewana wycieczka</i>	79
Adrian Błoniewski, <i>Świat Duchów</i>	82
Aleksandra Chmielewska	85

Karolina Chrzan	93
Magda Ducka, <i>Szczęśliwy traf</i>	94
Alicja Froń	96
Julia Garkowska, <i>Moja niezwykła przygoda</i>	99
Karolina Gawlik	105
Aleksandra Głogowska, <i>U podnóża Wielkiej Sowy</i>	106
Maciej Greiner, <i>Łąka</i>	107
Wiktoria Hanuszek, <i>Łąka czy zbiornik „Sudety”?</i>	108
Anna Jadwinczyn, <i>Powrót do dzieciństwa</i>	110
Marta Kaczmarek, <i>Niesamowita historia</i>	112
Nina Kobylańska	114
Aleksandra Kapka, <i>Wirtualny świat</i>	117
Marta Krocak, <i>Sen o wspomnieniach</i>	119
Olimpia Łosyk	121
Zdzisław Maciejewski, <i>Łąka Dierigów</i>	122
Beata Malinowska	128
Karolina Mazur, <i>Na pastwisku</i>	129
Ryszard Mierzejewski, <i>Sen</i>	130
Dariusz Miller, <i>Dębowy pamiętnik</i>	132
Sandra Nikoniuk, <i>Historia pewnej rodziny z Langebielau</i>	135
Katarzyna Panek, <i>Wehikuł czasu</i>	137
Katarzyna Podłęcka, <i>Wspomnienia</i>	140
Radosław Pohl, <i>Historia pewnej fotografii</i>	145
Natalia Pompa, <i>Marek- Mój Przyjaciół</i>	147
Patrycja Radziszewska, <i>Niepokojący dzień</i>	149
Krystian Rycąbel, <i>Tajemnica bielawskiego jeziora</i>	151
Natalia Stankiewicz, <i>Chwile ulotne, wieczne wspomnienia</i>	152
Maja Sygidus	155
Martyna Tejman	157
Bożena Tomaszek, <i>Gdzie szumią topole</i>	160
Nicole Wasilewska, <i>Złodziej szczęścia</i>	165
Wiktoria Wiśniewska, <i>Zalew</i>	170
Julia Wujaś	171
Agata Zamłyńska, <i>Niesamowita przygoda</i>	172
Tatiana Zawrotniak, <i>Bajka trochę prawdziwa o łące, która się w jezioro zamieniła</i>	174

Daria Zygmunt, <i>Z wodnych opowieści</i>	175
---	-----